Nr. 2. Warszawa, dnia 13 (1) Stycznia 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WYROK ANGULEMSKI.

Gazety opowiadają, że król Humbert, przyjmując ambasadora francuskiego i wspomniawszy o wyroku w Angoulême, rzekł: „Nic to nie szkodzi; jeżeli u obu stron istnieje skłonność do porozumienia się, to ono nastąpi.“ Niewątpliwie monarcha włoski jest człowiekiem bardzo dobrym, łagodnym i usposobionym do zgody z sąsiadami, jednakże owo doniesienie nie wydaje nam się prawdziwem. Wyrok bowiem sądu w Angoulême zbyt głęboko zranił włochów, a więc nie mógł się również prześliznąć po sercu ich króla. Przypomnijmy sobie w głównych rysach tę brzydką sprawę. Robotnicy francuscy, rozwścieczeni na swych towarzyszów włoskich za to, że im uszczuplają zarobki, skorzystali z błahej sprzeczki i gromadą rzucili się do pogromu „wrogów.“ Jednych zbili, innych wymordowali lub żywcem spalili, a znęcali się nad ofiarami tak zwierzęco, że — jak zapewniał sam prokurator — zarzynali ugrzęzłych w błocie i niemogących się bronić. Kiedy krzywda zabitych i ich rodzin uderzyła w dzwon alarmowy, kiedy w ich ojczyźnie wydarł się krzyk zgrozy, pierwszem przypuszczeniem był domysł, że Francya da naprzód Włochom jakieś zadośćuczynienie na drodze dyplomatycznej. Niestety, była ona na to za — silną. Postanowiono wytoczyć proces. Ponieważ winowajcy mieli stanąć przed sądem przysięgłych, którego wyroki dość często nie mają nic wspólnego ze sprawiedliwością, więc — według *Temps'a* — rząd francuski uczynił wszystko, co było w jego mocy, ażeby zapobiedz zupełnemu uniewinnieniu oskarżonych. Mianowicie, przeniósł sprawę z właściwego trybunału do Angoulême, kazał głównych zabójców aresztować, polecił prokuratorowi wystąpić przeciw nim bardzo energicznie, a zarazem do pytań, na które mieli odpowiedzieć przysięgli — wstawić dotyczące „ciężkiej obrazy ciała.“ Wierzymy gazecie paryskiej, że zwłaszcza ostatnia ostrożność była szczerą. Dla uniknięcia niesprawiedliwości krzyczącej, rząd francuski nie mógł sobie życzyć, ażeby zbrodniarze byli całkiem omyci z krwi i mniemał, że przysięgli nie uznawszy ich winnymi morderstwa, uznają przynajmniej winnymi „ciężkiej obrazy ciała,“ wprawdzie tak ciężkiej, że aż je dusze opuściły, ale to groziło co najwyżej kilkoma miesiącami więzienia. Kapłani jednak Temidy wyminęli nawet ten szkopuł sumienia i rozgrzeszyli zbójców ze wszystkiego. I oto w tym wypadku okazało się, jak sąd przysięgłych, umiejący czasem ubezwładnić martwą literę prawa dla uratowania cnoty, niekiedy wytrąca sprawiedliwości miecz z rąk dla otworzenia kryminału przestępcom.

Naturalnie bezmyślne warcholstwo, które zawsze ma idyotyczny zachwyt dla najgorszej „odwagi,“ powitało ten wyrok oklaskami. Poważne jednak dzienniki francuskie już dla samej przyzwoitości nie mogły powinszować bohaterom angulemskim. Niektóre z nich nie rozumieją nawet, „pod wpływem jakich uczuć pozostawali sędziowie, uniewinniając takiego nędznika, jak Bouffard (główny rzeźnik).“ Inne przewidują, że gorszący ten wyrok zapadnie w serca włochów wspomnieniem nigdy niestartem.

Czy tak jest w istocie? Chociaż ten wypadek ogłuszył prasę włoską, wogóle jednak nie wyprowadził jej z równowagi. Można było spodziewać się, że ona poprostu ryknie oburzeniem, że wyrzuci z siebie pianę gniewu na tę rzeź pobłogosławioną. Tymczasem—nie, wypowiedziała ona swoją boleść energicznie, ale spokojnie. *Riforma* odnosi bezkarność, zapewnioną mordercom, do nieżyczliwości francuzów. *Tribuna* woła mocniej: „Odtąd włosi mogą być bez przeszkody zabijani!“ — i od wyroku w Angoulême odwołuje się do sądu opinii całego ucywilizowanego świata. Jednocześnie prasa włoska domaga się, ażeby rząd nie przyjął ofiarowanego przez Francyę wynagrodzenia dla rodzin po poległych, wzywając naród do zebrania dla nich odpowiedniego funduszu.

Ale bóle spokojne są zwykle najtrwalsze, pomimo więc względnie spokojnego zachowania się prasy włoskiej, zarówno w niej, jak w jej narodzie, utkwiło drażniąco wspomnienie, które długo jątrzyć będzie stosunki między dwoma państwami. I dlatego nie przypuszczamy, ażeby Humbert wypowiedział przypisywane mu słowa lub też, ażeby sam w nie wierzył. Bo gdyby między Włochami i Francyą stanął tylko wyrok angulemski, możnaby waśń wyrównać obustronnemi staraniami. Ale właśnie wyrok ten wskazuje, jak głęboko rozwarła się przepaść między sąsiadami. Gdyby w Aigues-Mortes wymordowano robotników angielskich, holenderskich lub szwajcarskich, z pewnością nie puszczonoby winowajców bezkarnie. Sąd wbrew najwyrozumialszej sprawiedliwości przebaczył im zbrodnię; to przekonywa, jak dalece francuzi nienawidzą obecnie włochów. Czy takie wrogie usposobienia dadzą się pogodzić zapomocą zwyczajnych, banalnych środków, chociażby one nawet wzniosły się do ulg celnych i przyjacielskich uchwał na wiecach? Wątpimy. Ogień nienawiści pali się od lat wielu, a wyrok angulemski dolał tylko do niego oliwy i wywołał w nim żywszy płomień. Płomień ten może z czasem zagasnąć, ale zarzewie pozostanie, podniecane sprzecznością interesów i dążeń. Włochy należą do jednego wielkiego obozu Europy, a Francya do drugiego, ich więc stosunek musi być mniej lub więcej jawną walką.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Trudno wyliczyć wszystkie ratusze, urzędy podatkowe i domy gminne, które zbuntowana rzesza zburzyła zeszłego tygodnia w Sycylii. Pomimo bowiem przedsiewziętych a nieraz bardzo surowych środków, bunt i jego zniszczenia trwają dalej. Według ostatnich doniesień odkryto bardzo rozgałęziony spisek, mający na celu wywołanie rozruchów w całych Włoszech. Sprzysiężeniem tem kierowali: deputowany Defelice Giuffrida, oraz ksiądz Urso, którzy też zostali aresztowani. Zarówno przeciwko tym aresztom, jak wogóle przeciwko postępowaniu rządu w Sycylii zaprotestowali członkowie skrajnej lewicy parlamentu; nie zastraszyło to jednak Crispiego, który postanowił co prędzej stłumić rokosz siłą a nici tajemnej agitacyi wydobyć na wierzch. Winniśmy tu zaznaczyć, że pogląd nasz, wypowiedziany w przeszłym numerze *Prawdy*, na niewiarogodność twierdzeń rządu włoskiego o niesympatyi związków robotniczych i włościańskich dla ruchu rewolucyjnego okazał się słusznym. Już dziś zarówno robotnicy, jak włościanie wystąpili na scenę wyraźnie, a całe wrzenie przybrało charakter walki klas.

Francya, wyłapawszy lub wypędziwszy główniejszych anarchistów, postawiła przed sądem sprawcę zamachu w Izbie, Vaillanta, którego sąd skazał na śmierć. Mimo to obawa całkiem nie pierzchła. Zarówno mieszkania sędziów przysięgłych, jak niektóre biura i gmach parlamentu strzeżono są przez policyę.

Około rządu pruskiego jak muchy uwijają się najrozmaitsze pogłoski. To cesarz ma uwolnić Capriviego, to między kanclerzem a ministrem finansów, Miquelem, mają zachodzić nieporozumienia, to znowu ma być rozwiązany parlament — a wszystkie te wieści okazują się plotkami. Faktem jest tylko to, że w rządowych sferach niemieckich panuje dotychczas zakłopotanie wobec trudności rozwiązania ważnych kwestyj, do których należy przedewszystkiem: wynalezienie nowych źródeł podatkowych na pokrycie wydatków wojskowych, oraz traktat handlowy z Rosyą. Traktat ten podobno już został podpisany przez delegatów obu stron i w lutym będzie przedstawiony parlamentowi.

Prezydent Peixoto ani nie został zabity, ani nie ustąpił, jak głoszono, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w łonie dotychczasowych jego zwolenników powstał bunt, wywołany prawdopodobnie jego okrucieństwami i zbyt długiem przeciąganiem się wojny. Jednocześnie odezwały się zapewnienia pretendentów do tronu brazylijskiego, że pamiętają o swych prawach. To zawsze coś znaczy.

Sejm lwowski został otwarty d. 10 b. m. Marszałek w mowie swojej przedstawił skutki zeszłorocznych klęsk żywiołowych. Wydział krajowy wniósł projekt pomocy tem śmielej, że w budżecie zamiast corocznych niedoborów okazała się mała zwyżka. Namiestnik stwierdził niedostatek sił nauczycielskich i potrzebę troskliwszego zajęcia się sprawą szkół zawodowych.

BADANIA NAUKOWE.

DWA DUCHY.

(Wspomnienie pozgonne).

Dwie niezwykłe straty poniosła Anglia na samym schyłku ubiegłego roku. W pierwszym tygodniu grudnia zmarł Tyndall; nieszczęśliwy przypadek podsunął jego żonie truciznę, zamiast zwykłego proszku uspakajającego i zamknął bezlitośnie powieki sędziwego przyrodnika na zawsze. W ostatnim zaś tygodniu — prawie że z ostatnim tchnieniem roku uleciał duch zasłużonego i niezmordowanego podróżnika afrykańskiego, Bakera. Współczesne pokolenie chowa w nich dwu swych starych znajomych. Pierwszy zwycięzką ręką zdzierał przed niem zasłonę pokrywającą tajemnice przyrody, drugi prowadził je poprzez gąszcze Afryki.

Był czas, kiedy wymawiano nazwisko Tyndalla jednocześnie z nazwiskiem Darwina. Było to już dosyć dawno, wtedy mianowicie, kiedy ogłosił badania swoje nad światłem i ciepłem. Jakkolwiek później nie spełnił wszystkich pokładanych w nim nadziei, to jednak pozostał na zawsze wzorem dla tych, którzy pragną tajemnice nauki uprzystępnić dla umysłu niewykształconego specyalnie. Był nieporównanym mówcą z katedry, znakomitym popularyzatorem, wzorem w dokładności i estetycznem wykończeniu doświadczeń. I te same cechy odznaczają jego dzieła, które przez długie lata rozdawano w szkołach angielskich, jako nagrody dla zachęty do pracy przyrodniczej. Śród braci w zawodzie uchodził zawsze za metafizyka, nie za fizyka w ścisłem znaczeniu tego słowa. To samo atoli postępowanie, które mu przyniosło złośliwy tytuł, potrafiło oburzyć przeciwko niemu klerykalizm angielski. Kiedy bowiem powstał w Anglii projekt odprawienia modlitwy jednocześnie na całej kuli ziemskiej, znalazł obrońcę w Tyndallu, który widział w tym fakcie niebywałą próbę sprawdzenia na drodze doświadczalnej wpływu modłów. W roku 1874, jako prezes „Britsh Association“ na zjeździe w Belforcie wygłosił wielką mowę o powstaniu świata, którą zakończył temi słowy: „A teraz muszę zadanie moje uważać za skończone, gdyż jest ono dla mnie nazbyt wielkiem; zadanie też jednak będzie zajmowało najszlachetniejsze umysły wtedy, kiedy wy i ja rozpłyniemy się, niby strzępki mgieł porannych, w nieskończonym eterze przeszłości.“ Zaznaczyć wypada, że kiedy u szczytu swej sławy odbywał tryumfalną podróż po Ameryce, ofiarował niezliczone sumy, zebrane z wykładów publicznych, na cele kształcenia młodzieży. Przy wielu uniwersytetach amerykańskich z tych funduszów ustanowiono stypendya dla młodych przyrodników. Urodził się 1820 r., jako syn biednego irlandzkiego kramarza. Był początkowo drobnym urzędnikiem kolejowym i dzięki własnej, ciężkiej pracy zdobył posadę nauczyciela nauk przyrodniczych w małem mieście angielskiem. Rok 1848 i kilka następnych spędził w Niemczech, gdzie pracował pod okiem Helmholtza i gdzie przetłomaczył jego rozprawę o „Zachowaniu energii.“ (Opowiadają, że pewnego dnia odwiedził go Du Bois Reymond i wręczył mu niewielką książeczkę ze słowami: masz tutaj największe dzieło naszego stulecia. Była to wzmiankowana właśnie rozprawa). Od r. 1859 począwszy ogłaszał swe prace o cieple, dźwięku, świetle, elektryczności i — Faraday'u. W r. 1876 ożenił się i zaczął powoli ustępować z życia publicznego. Wspaniały obiad, jaki wydała dla niego „Royal Institution“ w r. 1887 był właściwie pożegnaniem jego ze światem. Przeniósł się w góry, gdzie zbudował sobie ustronną siedzibę — i w cichości ducha pastwił się nad Gladstonem i home-rule'm. Były to ostatnie jego gniewy.

Samuela Bakera liczyć będzie zawsze nauka do najwytrwalszych i najuczciwszych badaczów afrykańskich. Należał on do szeregu najpierwszych przyrodników, którzy chcieli zdobyć tam dla świata cywilizowanego nieznane krainy. Już w roku 1861 o własnych siłach i własnym kosztem wyrusza z Kairu, ażeby dotrzeć do źródeł Nilu i spotkać się z wysłaną w tym samym celu z Zanzibaru wyprawą kapitana Speke. R. 1862 przybywa do Chartumu, gdzie łączą się Nile; nie zważając na

---

2)

„PRZY TOBIE.“

Nagle przyszła jej myśl. Wstała szybko, drżącemi rękami zapaliła wielką lampę, dobyła zawieszony na szyi kluczyk i otworzyła biurko.

Jak dawno — jak dawno! Oto nareszcie! Cała przeszłość wionęła na nią z wnętrza tej otwartej szuflady. Patrzyła chwil kilka, a potem delikatnie, z uszanowaniem relikwii dotknęła palcami papierów. Rozrzewniło ją to jedno dotknięcie; zdawało się, że dotykała nieumarłej jeszcze przeszłości. Potem jeden po drugim brała papiery, kartki, notatki i przeglądała uważnie. Na każdej z tych kartek droga ręka spoczęła choć przez chwilę — widziała tę białą, podłużną rękę z obrączką na palcu. Tu były jakieś wyliczenia, tam rozpoczęte listy, rachunki, pokwitowania, owdzie notatki z książek. A tu w prawym oddziale— cóż to za paczka związana skrawkiem wstążki? Ach — listy! Ich listy z czasów, gdy byli jeszcze narzeczeni. Rozwiązała paczkę — rozsypały się. Lekko zżółkłe, zleżałe, o zbladłym atramencie przezroczyste listki — ileż one mówiły! Niektóre z nich były zszargane, załamane na rogach, jakby długo noszone w odzieniu. Zdarzało się, że niekiedy przeglądali je razem; nieraz się uśmiechnęli, częściej oczy zachodziły łzami. Teraz przeczyta je wszystkie, od pierwszego do ostatniego, zarówno jego, jak i swoje własne odpowiedzi.

I czytała. Czytała niektóre po kilkakroć. Zapomniała, co z nią jest, gdzie się znajduje, ile dni dzieli ją od tych listów — i jakich dni! W opuszczonych źrenicach zatliło się życie, nawet coś, jakby cień rumieńca wystąpił na policzki. Przeżywała wszystko, co czuła, pisząc i odbierając te kartki i tę czułość, i tę tęsknotę, i świadomość, że gdzieś, niezbyt daleko on się znajduje; że wkrótce, coraz już bliżej, coraz bliżej, zobaczy go — zobaczy, aby już nie opuszczać na wieki.

Listów nie było wiele — ale je czytała tak długo. A noc szła niewzruszonym torem. I oto spostrzegła nagle, że na cieniutką ćwiartkę, która chwiała się w jej palcach, padła wyraźna, błękitna smuga dnia. Podniosła głowę i wpatrzyła się w okno, usilując wytworzyć w sobie pojęcie obecnej chwili. Tak, dzień już się zbudził. Jasne, wyraźne, realne światło napływało przez okno, ćmiąc żółty płomień lampy. Wszystkie sprzęty zarysowały się wybitnie, nad nią z pod cienia choiny wyraźnemi, szorstkiemi smugami zaznaczyły się pociągnięcia pędzla.

Porwała się gorączkowo, wrzuciła listy w głąb biurka, zatrzasnęła szufladę i uciekła.

W swojej ciemnej sypialni rzuciła się na łóżku, mocno objęła rękami poduszkę i przycisnęła się twarzą. Miała przez kilka godzin nocnych widzenie przeszłości— przez kilka godzin czuła go przy sobie.

I łzy obfite, szczęśliwe długo wsiąkały w batyst poduszek. Dlaczegóż przytem ten ból taki w sercu?

Zakupiła mnóstwo kwiatów, pełne kosze, girlandy, bukiety. Cały grób skrył się pod niemi. „Ty mnie kochasz, mój luby, ty mnie kochasz“ — szeptała, uśmiechając

niebezpieczeństwa, puszcza się na niepewne fale Białego i w następnym roku spotyka w Goudokora kapitana Spèke, a wreszcie w marcu 1864 r. dociera do nieznanego jeziora Montan N'rige, któremu nadaje miano Alberta Njanza. Za te czyny bohaterstwa czekają go w kraju najwyższe nagrody: medal od Tow. Geograficznego; zostaje członkiem uniwersytetu w Cambridge, z rąk królowej otrzymuje tytuł szlachcica. Na lata 1869—73 przypada druga jego podróż po puszczach afrykańskich. I w ostatniem dziesięcioleciu prawie że rok rocznie odbywał podróże po Indyach lub przebywał w Egipcie — zawsze czynny, pełen poświęcenia i odwagi. Jeszcze na kilka tygodni przed śmiercią pisywał do *Times'a*. Umarł 30 grudnia.

a.

LITERATURA I SZTUKA.

JEDEN Z ATOMÓW.

St. Przybyszewski, *Totenmesse*, Berlin.

Pierwsze odczytanie *Mszy żałobnej* nie jest pozytywnem. Kiedy poprzednie szkice Przybyszewskiego, zwłaszcza poświęcony Chopinowi-Nietzschemu, czyniły wrażenie fantastycznego, lecz oryginalnego gąszczu, nowa praca oddycha jakąś cieplarnianą hodowlą w swojej zewnętrznej szacie. Autor zaczął naśladować najgorsze wzory — samego siebie; co nieświadomie i samorodnie powstawszy nęciło ku sobie, to sztucznie rozdmuchiwane nie sprawia dodatniego wrażenia. Z trudnością przebrnąłem przez tę gmatwaninę cudackich porównań, istne trzęsawisko, nad którem migocą chorobliwe ogniki efektu stylowego, lecz przebrnąwszy, nabrałem chęci powtórnego przerzucenia kartek tej książki. Z po za histerycznej pogoni za „transcendentalizmem" stylu i symbolami, z po za wybryków zmysłowo-halucynacyjnych, przetłomaczonych na język dźwięku pisanego, wygląda treść, tak — zwarta, istotna treść, której nie widać było w przyczynkach do psychologii indywidualności nowoczesnej. Ktoś, mówiąc mi o wyjściu tego świeżego utworu, uprzedził z góry, że jest to majaczenie chorego mózgu. Niech tak będzie! Ale choroba bywa niekiedy poważną i zasługuje na baczną analizę... Stany ducha, jakie widzimy w kiermaszu śmierci, przenikają powietrze dzisiejszej chwili i rozpaczliwym wołają głosem o to, żeby przyjrzano się tej nowej katuszy wewnętrznej. Obłąkańcy trwogi przed realnem życiem, których całą galeryę zawiera Hansonowska *Amorosa sensitiva*, wykolejone ideje i wykoszlawione żądze, które studyuje Kraft-Ebbing, pewien odłam wyznawców Nirwany, występujący coraz obficiej w noweli psychologicznej, wreszcie ktoś bezimienny z kiermaszu śmierci — cóż za ponury kalejdoskop namiętności, nurtujących pokolenie dzisiejszej inteligencyi! Przeklęte, schorzałe pokolenie analityków, bez zdolności do czynu, mogące przekazać przyszłości jedynie spowiedź z wewnętrznego pojedynku z samym sobą! Szkic Przybyszewskiego jest autobiografią kogoś z tej rzeszy, która niby chore kwiaty stoi schylona nad potokiem życia, jednego z tych skazańców, którzy giną dzisiaj bezowocnie skutkiem nadmiernego rozwoju mózgu, podgryzającego wszystkie żywotne źródła pełni organicznej. Że autor wybrał sobie jakiegoś maluczkiego — nie starajmy się uchylić rąbka tej tajemnicy! — z pośród bezimiennego zastępu miotających się w własnej niemocy, to rzeczy nie osłabia. Słusznie bowiem zaznacza, że z pierwiastków ducha jakiegoś alkoholika o delikatnej tkaninie nerwowej można wyciągnąć bardziej pouczające wnioski, aniżeli z działalności niejednej potęgi literackiej, sztucznie rozdmuchującej iskierkę do rozmiarów płomienia — dla efektu i zarobku.

Asceci, których powołał do życia rozkład dziejowy w IV i V w., w odludnej pustelni, zdala od zgiełku życia, pastwili się nad swoim „osłem." Ale owa walka pomiędzy materyą a duchem, zapasy idei z żądzami ciała nie wypływały, jako konieczna konsekwencya, z przyczyn wewnętrznych, stanowiły one raczej naleciałość, która przeszła do mózgu w postaci mistycznej filozofii dualizmu i zaćmiła pogodną radość użycia. Inaczej bywa wśród orszaku bohaterów kiermaszu śmierci. Jak pręciki rośliny zamieniły się na rozkoszne i barwne listki kwiatu, ale jałowe i bezpłodne, tak samo kiedy niekiedy w organizmie ludzkim wybujał mózg, podgryzł inne potrzeby, przedewszystkiem zaś dotknął gangreną podstawowe namiętności ciała, które, jeżeli zabierają głos, czynią to w formie mniej lub więcej chorobliwego oddźwięku. Typy to przeważnie i może wyłącznie męzkie. Lubieżność w myśli, która nie waha się malować najcyniczniejszych obrazów, a jednocześnie faktyczna dziewiczość ciała, ciągłe łaknienie kobiety i zarazem głęboki wstręt ku każdej, odzianej w żywe ciało, wstręt powstający w chwili, gdy wszystkie jej wahania i trudności zostały przełamane — w takich sprzecznościach porusza się jestestwo analityków-intelektualistów, z których jednego kiermasz śmierci jest dramatem. Bohater, idąc modną teraz, lecz dość obłędną drogą, zrzuca winę za tę swoją jałowość na związki małżeńskie pomiędzy bankrutującą szlachtą a chudopachołkami, którzy, wyszedłszy z kurzu przydrożnego, ujmują swemi ordynarnemi rękami wydelikatnioną latorośl kilkunastu przodków... Ona, tj. matka, nigdy nie kochała ojca, którego zaślubiła, ażeby nie iść do służby. „Jej dusza widziała siebie w kale, zbrukaną przez brutalną siłę, w dzikiej namiętności wyrywała się do czegoś nieskończenie wewnętrznego, czystego, niepokalanego, bezpłciowego. A ta bezpłciowa żądza w niej zrodziła bezpłciowość po za nią: ona to uczyniła mnie tak chorobliwie wrażliwym, tak mistycznie wstydliwym i zarazem cynicznym bez miary, wpoiła odrazę do żywej płciowości i zasiała rozkładowe pierwiastki na pomoście od duszy do płci. Jak daleko sięgają moje wspomnienia, czułem siebie czemś nieuporządkowanem, złożonem ze sprzecznych pierwiastków. Nigdy nie było we mnie miłości i syntezy." Oto bohater kiermaszu śmierci. Utwór cały jest spowiedzią z wewnętrznych jego stanów, opowieścią o walce pomiędzy bezpłciowym mózgiem a płciowem ciałem. „Wyciągnę ociężałą bestyę cielesną za uszy z jej nory, do biała rozpaloną gorączką mojej żądzy będę ją smagał po grzbiecie, ostrza żądła moich bólów wbiję jej pod stopy, niech wrzeszczy i hasa, niech hasa, niech hasa! Obrazami, które spłodził mój zimny, wyrafinowany mózg, będę ją kłół dopóty, aż poczuję w sobie męzkie żądze — ja, biedny męczennik twojej bujnej wspaniałości, o nowoczesny mózgu!" Mniejsza, z jakich źródeł i doświadczeń czerpał Przybyszewski pierwiastki duchowe do swojej analizy. Stworzył on szkic — może bezwiednie — naukowy o tego rodzaju rozterce wewnętrznej. Kilkanaście takich utworów, a psychologia atomów-analityków więcej zyszcze, aniżeli z suchych rozpraw specyalistów psychiatryi.

Bohater filozofuje nad genezą własnej niemocy. Lubieżnością myślową zabarwia on całą przyrodę, jej czynności i rozwój. Żądza była dźwignią wszystkich procesów: w świecie organicznym stworzyła rogi, grzywy, zdolność śpiewacką, aż wreszcie wydała mózg — dla swoich wyłącznych celów — podniety. Lecz dusza, zamiast na zawsze pozostać środkiem do celu, stała się sama celem. Mózg swojemi łaknieniami jął zabijać głosy ciała. Lecz nie zawsze wychodzi zwycięzcą ze swego zwycięz-

---

się rzewnie. Wieczorem rozpaliły się jej policzki, lekki dreszcz wstrząsał ciałem. „Kiedyż ten nieznośny dzień się skończy, kiedyż nareszcie będę sama?" I około północy była już znowu przy biurku, zamykała drzwi na klucz i pogrążała się w czytaniu.

Ale „dziś" nie jest „wczoraj." Te wszystkie listy umiała już na pamięć. Nie doszła do ich połowy, gdy ogarnęło ją niespodzianie zmęczenie, rozczarowanie, przesyt.

„To tylko martwe wspomnienie — myślała z goryczą — rzeczywistość musi objawić się życiem."

Związała listy i znowu je do prawego oddziału schowała. Cóż teraz zrobi? Poczęła machinalnie przerzucać zawartość biurka. Wszystko to rzeczy tak nikłe, tak małej treści, względnie do tego, co pragnęłaby znaleźć. Gdyby mogła natrafić na coś takiego, coby jakąś całość jego przedstawiało — coś, coby jak ten portret przedstawiający twarz uprzytomniło jego duszę, możeby wtedy... Ale nic, nic zgoła nie znajdowała. Zastanowił ją jedynie mały półarkusz — nie ważnością, lecz zagadkowością zastanowił. U góry napisano: „Garść zboża," a dalej jakieś kwadraty poznaczone mniejszymi kwadracikami, liniami, punktami. Gdzieniegdzie drobniutkie nadpisy: *ogród—sale gimnastyczne—wykłady—p—k* (może park); potem już tylko cyfry i litery; wśród nich większy kwadrat oznaczony: *piastunki.* Był to widocznie jakiś plan — ale czego? Odwróciła papier. Tu znalazła parę wierszy:

Ludzkości, ty rzucasz siew swój na rozdroża,
Garść czystego zboża pod stopy przechodniom,
Marnie stracony posiew poniża, zuboża —
Przyszłość otworzy wrota nie plonom, lecz zbrodniom.

Lubił niekiedy w rymach wypowiadać swe myśli. Lecz czy te odnosiły się do rysunku? Nie mogła odgadnąć. Chciała już rzucić je wraz z innemi w głąb biurka, lecz ta zagadkowość zadrasnęła ją. Czyżby nie potrafiła myśli jego odgadnąć? Złożyła papier i wsunęła do książeczki, którą zawsze nosiła przy sobie.

Dzisiaj dzień jej nie zastał przy biurku; zamknęła je znacznie wcześniej i smutna wróciła do siebie.

Zasnąć jednak nie mogła. Więc wszystko napróżno? Więc nigdy — nigdy? Cóż jest nareszcie to życie, że nie zdoła być nieśmiertelnem? Jeśli tkwi w mózgu jakiś zarodek myśli logicznej, to chyba nie po to, aby błąkać się w niedorzecznościach. Jakżeby mógł tak rozwiać się niby mgła — to serce kochające, wielkie, ta myśl tak różnostronnie wyrobiona? Przemiana materyi? Z tych myśli podniosłych — robak kopiący w ziemi? Albo tam, jak inni mówią, atom światła w źródle jasności? Lecz, cóż tu? Dla niej, dla ziemi? Gdzie żył i myślał, gdzie kochał? Bez echa żaden najlichszy dźwięk nie przechodzi, ani światło nie błyśnie, aby nie rzuciło cienia — on że jeden ma być wyzuty ze wszelkiej nieśmiertelności? Garść zgnilizny w ziemi — zgnilizny, wstrętne, rozłożone resztki...

Tak go kochała, tak bezgranicznie wierzyła — w cóż ma wierzyć i co kochać teraz? Miała przed sobą zawieszone wysoko jakieś bóstwo i nagle, jednego dnia — niema go! A serce pozostało pełne. Gdyby wiedziała, że bóstwo to było marą, możeby oszalała nad swą pomyłką, ale miałaby poczucie jakiejś logiczności; omyłka, nic więcej — jakiś brak we własnym jej mózgu,

twa: pozbawiony spójności, targany wewnętrzną rozterką i buntami ze strony ciała, obumiera w ciągłej pogoni za syntezą, za pogodzeniem obrazów mózgu i żywej namiętności. Chwila spokojnej analizy: „jestem zupełnie spokojny, ale bardzo zmęczony — w głębi coś mnie boli i dławi pożądaniem równowagi, myśli na skrzydłach samodzielności odlatują i powracają niepowściągliwe.“ A nóż analizy, przybranej w szatę barwnej halucynacyi artystycznej, bezlitośnie dotyka wszystkiego, na wszystkich zabiegach i uciechach życia pozostawia po sobie niesmak i wstręt: utwory sztuki, walki za ideę, czyny prywatnego życia występują jako ogniwa olbrzymiego, wszechświatowego kankana żądzy lubieżnej. Bezpłciowy mózg dochodzi do ekstazy nad samym sobą i wyrywa się z plugawej szaty ku przetworom nicości. Jaźń analityka bije przed sobą czołem, niby jedynie nieskalana brudem. To znowu ustęp inny, kiedy ciało i mózg godzą się chwilowo w zdrowej syntezie obrazów i pragnień. Niby srebrnawy promyczek jesiennego słońca, wpadający do izdebki, chwila ta rozpogadza chmury wewnętrznej analizy; myśl buja swobodna, przędzie nić syntezy i na niej nawiązuje obrazy szczęścia, biegnie w przeszłość, dopóki nie potrąci swojem skrzydłem jakiejś bolesnej struny: harmonia pryska wśród odgrzebanych wspomnień upojenia miłosnego, najniespodziewaniej zamąconego nagle przebudzonem widmem odrazy, która zdobywa się dla kobiety na jedyną radę: Ofelio, idź do klasztoru! To znowu jesteśmy świadkami samotnej orgii pijackiej. Bohater-analityk, niby zwierzę drapieżne, siedzi w kącie milczący, z twarzą boleśnie drgającą, czucia jego hasają według jakiejś cudacko wiedźmowej melodyi. Spokój zwolna przeradza się na wściekłość, do halucynacyi zmysłów dołącza się halucynacya żądz, lecz zamiast żywego ciała, trup wabi ku sobie mózgowca.

A z każdą stronicą, przewróconą w księdze życia, analiza wraz z odrazą wzrastają i jednocześnie halucynacye są coraz częstsze: przyroda przybiera formy niewieście i coraz bezwstydniejsze, przed wyobraźnią majaczy ona niby olbrzymi wszech-uterus, obiecujący spokój w swoich przestworach. Aż wreszcie wybija godzina ostatniej agonii wśród mroków nocnych, czołgania się po ziemi, a w obawie przed myślą o konieczności położenia kresu piekłu wewnętrznemu, które nurtuje w mózgu. Ukazują się pierwsze zwiastuny świtu, z nimi zaś nowe halucynacye: promieniste blaski wschodzącej zorzy układają się w postać kobiecą, tu otwarte wargi pałają zachwytem lubieżnym, wyżej światła układają się w warkocz. To Astarta, bogini nienormalnego, wykoszlawionego upojenia, wstaje żądna nowej ofiary całopalnej. Wszelka walka ustaje, pierś wyrzuca z siebie hymn zwycięzki, że po nad wiecznem zapłodnianiem i rodzeniem, powstawaniem i rozkładem majestatyczny spokój bezpłodnego mózgu szybuje swobodny. Nietzscheanizm, to wyznanie wiary analityków-mózgowców mieszczańskiego pokroju, dorzuca swoje barwy. „Natura wyczerpała się, zaczyna skąpić i porzuciła dawne marnotrawstwo. Przestała stwarzać ichtyozaury i olbrzymie mięczaki, daje życie plugawym, drobnym zwierzętom trzodowym, wysila się na ruchliwe bakterye, łaskawie pożerające jej nieudatne dzieło. A po nad padołem drobnej żądzy, nad tem skąpstwem i filisterskim dekadentyzmem rozpiera się moja wolna, marnotrawna, arystokratyczna dusza w swojej wspaniałej bezpłodności. Musi ginąć, ponieważ wyrosła za wielka i za królewska i za święta, ażeby mierzyć się z podłym rodem hołoty, zdolnym jedynie płodzić dzieci — według zasady najmniejszego oporu.“ Wyrok wydany, zwiastuje on, że niebawem rozkładowe procesy przyrody znajdą dla siebie nową pastwę.

Tak wygląda *Totenmesse*. Rzecz ciekawa, jak ten sam temat powtarzają artyści obecni w niezależnych od siebie punktach, co więcej, jak uporczywie wypowiadają te same myśli, ubierają wewnętrzny pojedynek w tę samą draperyę duchową i nawet zewnętrzną — przyrody. Ktoś posądziłby ich o wzajemny plagiat, wówczas kiedy oni nie wiedzą nawzajem o sobie — Przybyszewski nigdy na pewno nie słyszał o Albowie. Nowoczesny bowiem rozwój wszędzie odrzuca w swoim warsztacie podobne wióry! Jedynie emancypujący się mózg wygląda inaczej: to jest narzędziem, artystycznie lubo chorobliwie nastrojonem, w którem idea dźwięczy tonem, przybiera się w barwy, przywdziewa na siebie tak ulubione przez symbolistów szaty potworności; to znowu jest nadzwyczaj trzeźwą maszyną logiczną, obywającą się bez halucynacyi i zrywającą więzy bytu bez hymnów z podkładem własnej zarozumiałości. Ale zawsze i wszędzie są to wióry ewolucyi społecznej, nieprzydatne nawet pod bezimienną mierzwę dziejową, ginące od tego, że mózg, zgubiwszy płciowość ciała, nie zdobył się nawet na płodność idei i na pragnienie zasiewu lepszego ziarna między ciżby ludzkie. Ale wśród tych wiórów lęgnie się niekiedy coś więcej, aniżeli robak śmierci. Nie lękajmy się nerwicy — mówi autor na wstępie; jest ona jakby drogowskazem, wyznaczającym, w jakim kierunku posunie się rozwój ducha ludzkiego. W niej leży zarodek nowych czuć i nowych widnokręgów. Ale nie wszystkie organizmy mogą przyjąć ten siew. Kiedyś ciało dopasuje się do nerwów, powołując do życia nowe typy duchowe. Przyroda niejako probuje różnych wzorów, zbyt nieudatne giną jako sprzęt bezużyteczny, ale niekiedy nawet w nich drgają pierwiastki przyszłości. Intelektualista zwycięży kiedyś, lecz musi posiąść starganą równowagę pomiędzy mózgiem a ciałem. Komu idzie o formułki, może tem się pocieszać: zdeptane przez rozwój atomy nie wielką znajdują w tem pociechę.

K. R. Żywicki.

O DEKADENTACH.

W stosunku do literatury „upadku,“ przybrano u nas postawę, którą możnaby nazwać obywatelską. Jeśli odliczyć paru poetów, którzy w tym kierunku umiłowali raczej żywioł parnasowski (Lange, Przesmycki) i paru pisarzów, którzy symbolizm francuski naśladują aż do biernego przedrzeźniania (Sn. Zapolska i ostatnio Wł. Tetmajer), to okaże się, że ogół żywi względem niego raczej uczucia wrogie, niż przyjazne, że przypomnę wyborną rozprawę p. W. Wojnarowskiej, pomieszczoną dwa lata temu w *Ateneum*. Obron nie spotykamy, co najwyżej zalecanie pewnych środków artystycznych, używanych przez szkołę paryską, ale nie ducha i treści.

Jest to całkiem naturalne. Między pojęciami i ideałami naszymi a rodaków Beaudelaire'a i Richepina zachodzi zbyt wielka różnica, ażeby ów wykwit rozkładającej się oświaty mógł się przyjąć na gruncie, gdzie tę oświatę dopiero siać trzeba. Tylko więc umysły niezupełnie w sobie przerobione albo wprost zamieszkałe nad Sekwaną usiłują ten gwałt naturze gleby zadać. Słowem walka z dekadentyzmem nie miała nawet potrzeby ani możności rozsrożyć się i rozszaleć, albowiem parę celnych strzałów los jej rozstrzygnęło. Jeżeli więc i dziś jeszcze słychać tu i owdzie pukanie, to nie jest ono skutkiem potrzeby, ale chęci zrobienia hałasu i zwrócenia na siebie uwagi wielkim animuszem wojennym.

O te wątpliwe wawrzyny pokusił się i p. W. M. Kozłowski w broszurze świeżo wydanej p. t. *Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie* (*Paweł Bourget i Fryderyk Nietzsche* *), no i naturalnie może być nie-

*) Warszawa. 1893.

to jasne i proste; ale tu? Gdzież to jest — to wszystko, co było pełnią życia, pełnią uczuć, marzeń, wiary? W cóż się to wszystko obróciło? Wstrętna, ruszająca się kupa robactwa... z jego mózgu, z jego serca!

Nie przychodzi do niej, bo już jest tylko tą garścią próchna i robaków — nie przyjdzie nigdy. Niema go—niema! Przeistoczył się w kłębek robactwa. Potworne, śliskie, przewracające się w ziemi, w zgniliznie żyjące robactwo.

Umarł! Oto teraz umarł dla niej bezpowrotnie. Nie przeszedł do nieśmiertelności. Istnienie zamknęło się nad nim zupełnie, szczelnie, jak wieko nad trumną. Próżnia — czarna próżnia... A tam, w ziemi — to robactwo, dogryzające resztek.

Jaka ciężka, dusząca czarność... Aach!— któż zdoła to wytrzymać? Zamknąć oczy— gdyby tak zamknąć duszę? Nie oddychać, nie czuć, nie myśleć — skończyć mękę. Prędzej! o, gdybyż prędzej! Ot tak, na haku od lampy...

Lecz skądże pewność, że „tam“ go odnajdę? Ach, przestałaby chociaż czekać, przestałaby szukać. Wszakże i tak nie będzie już ani czekać, ani szukać... Kłębek robactwa — szeleszczą, przewracają się, gryzą. Zgryzły jego mózg, najadły się jego myśli. Kochasz mię? Robactwo tem żyje. Wierzysz w wielkość przeznaczeń człowieka? Zgryzło twą wiarę robactwo...

Długi, mocny ten sznur od szlafroka. Jedna chwila... Położę tuż obok. Te same robaki, co jego duszę pożarły, i mnie...

Ale wpierw muszę to widzieć. Muszę na własne oczy widzieć, że z jego duszy, z jego istoty — z miłości tej mojej — robactwo... robactwo... robactwo!!

Matko, odkopcie go! Prędko — prędzej! Muszę go widzieć, muszę rękami dotknąć... te robaki! A potem połóżcie sobie nas razem... razem. Słyszysz? — razem! Bo on już umarł. Wiesz? Dziś rano umarł — zobaczyłam, że umarł... bezpowrotnie, bez nieśmiertelności. Wiesz? Kupa robactwa— nic więcej, żadnego innego śladu. Ot taka wielka! W mózg mi się wpiła — wypija ze mnie mózg... O-oh! matko!..

Wzięli ją na ręce, ponieśli na łóżko, jak bryła śniegu zaciężyła im na ramionach— sztywna, zmartwiała, bieluchna. I rozpoczęło się długie pasowanie śmierci z życiem. Noc wydzierała ją chciwie bladym, tlejącym gdzieś w głębi promykom.

Ale gdy wiosna wróciła i powiały wonne, ciepłe tchnienia, wyprowadzono ją do ogrodu chwiejącą się jeszcze i bladą, ale już wydartą śmierci, najczulszemi staraniami przykutą znowu do życia. Zbolałą piersią odetchnęła głęboko, powiodła dokoła zdumionemi oczami, opuściła się na krzesło i zadumała się.

Dumała tak długo, ciągle, całymi dniami, póki wiosenne powietrze nie usypiało. Matka, która przez jedną tę zimę zbielała i zmarszczkami się okryła, patrzyła na nią rzewnie, z wyrazem słodkiego tryumfu. Pierś jej dziecka oddychała tak równo i na policzki występował we śnie rumieniec. Gładziła leciutko jej włosy, kładła kwiaty na kolanach i bojąc się zbudzić pocałunkiem, oddalała się na palcach. Ale lekarz odchodził codzień z pochmurną twarzą i na wszelkie pytania miał jedną tylko odpowiedź:

— Zobaczymy — czekajmy jeszcze.

(D. n.)

mi uwieńczony. Włożył on w pracę swoją dużo świętego oburzenia ale i bądź co bądź więcej materyału dowodowego, niż autorzy dziennikarskich artykułów. Jest niewątpliwie przekonanym o prawdzie swoich słów i na pewno nie przystałby do tych, których krytykuje, i nie zmienił poglądów na żądanie redakcyi. Ale p. Kozłowski tak często przywdziewa na się togę surowego sędzi i tak gęsto zamiast zwykłych skazańców rozsiewa dokoła — trupy, iż biorąc jego książeczkę do rąk, należało spodziewać się jakiego nowszego, mniej zużytego punktu widzenia. Niestety, od pierwszych stronic wiemy już, jaki będzie ostateczny wyrok i jakie pojmowanie dekadenta: Ponieważ to takie *ja*, „które chce się ciągle bawić, pragnąc zrobić z życia wieczny odświętny salon, staje się bogiem dla siebie samego i wszystko dla niego poświęca,“ jest przytem sceptyczne, dyletanckie, pesymistyczne — więc można je tylko wzgardą obrzucić.

Wywód bardzo rozumny i słuszny, szkoda tylko, że go bezpotrzebnie po raz nie wiem już który powtórzono, a większa jeszcze szkoda, że został postawiony na czele broszury zamiast jako wynik zbadania i odpowiedniego przedstawienia tego kierunku czy też stanu duchowego — na jej końcu. Gdyby tę rolę odgrywał, łatwo możnaby autorowi wybaczyć, że burzy raz jeszcze zwaloną warownię, boć nawet niszcząc w sposób właściwy, można coś stworzyć. Uderzając celowo i ze znajomością rzeczy wobec czytelnika, można mu jeszcze dokładnie odmalować samą twierdzę, a w danym wypadku szkołę, za złą uznaną i dla piśmiennictwa byłby zysk.

Autor jednak nie zna samego ruchu i uważa poznanie go za zbyteczne; woli obraz jego zastąpić doktryną, *wyznaniem wiary* jego przedstawicieli. Ale czy z filozofii dekadentyzmu można poznać sam dekadentyzm? *Czy czyjeś credo może być rękojmią charakteru postępków?* Pan Kozłowski snadź uznaje, że *tak* i popełnia błąd o tyle naiwny i prostaczy, że go objaśnić można chyba tylko zupełną nieznajomością spraw literatury, gdzie *quot capita tot mentes*, gdzie manifest obowiązuje co najwyżej swego autora. Czy Wiktor Hugo może odpowiadać za Gauthiera lub Stendhala, a *Lucynda* Schlegla za *Henryka Ofterdingen* Novalisa. Ostatnie fale pewnego prądu są często żywym kontrastem pierwszych. Pierwsze nieraz bywają przezrocze, a drugie mętne jak szlam, lub też odwrotnie.

Ale dajmy już na to, że teorya może bezstronnie i ściśle wyobrażać pewien całokształt uczuć i popędów... Za ten gwałt zadany logice nie wynagradza nas jednak p. Kozłowski odpowiednim wyborem rzecznika. Bourget ma nim być? Ależ to chyba drwiny. Bourget wprawdzie ma pewną słabość dla dekadentów, zwłaszcza w dobie pisania *Szkiców z psychologii spółczesnej*, ale on nad nimi raczej lituje się i główną widzi niedolę wieku w utracie wiary, miłości (*impuissance d'aimer*), harmonii z kobietą, i ojczyzny. Pragnie on je leczyć tendencyjnemi powieściami (*Le Disciple*, *Cosmopolis*) i z gruntu zmienić całe wychowanie. I to ma być filozof dekadentyzmu? Pan Kozłowski sądzi widać, że o osobistości bardzo złożonej i twórczej i bardzo w dodatku zmiennej, jak Bourget, można wyrokować na zasadzie jednej z pod jej pióra książeczyny.

Jako jedyne drzewo wiadomości dla autora, Bourget sprowadził go na drogę wielu innych jeszcze niemniej doniosłych i przeto zadziwiających odkryć. Stendhala np. pojmuje jako odleglejszego przodka dekadentyzmu, jako „mamuta na wywrót,“ którego dziś dopiero nauczono się cenić; albo streszcza świetne uwagi Bourgeta o rozczarowaniu, panującem w utworach Flauberta (podając je za własny niby wynalazek): czyż to nie świadczy, że p. Kozłowski swego mistrza nietylko wyzyskuje, ale po prostu żyluje, że wyciąga zeń wszystkie soki? Jest przytem o tyle zabawny, że szyrmując wciąż owemi *Essays de Psychologie*, nie zdaje się nawet przypuszczać, aby mógł je też czytać kto inny i zdradzić szczególny stosunek, zachodzący między nim a Bourgetem?

Lecz o to wszystko mniejsza, chcielibyśmy tylko wogóle wiedzieć, co tu robi Bourget i czy na niego może spadać tyle odpowiedzialności za to, że śród wielu studyów jedno poświęcił Beaudelaire'owi. A możeby tak należało zajrzeć do Morice'a (*La litterature de toute à l'heure*), albo lepiej Barrésa (*Toute licence sauf contre l'amour*), jawnych i głównych teoretyków dekadentyzmu? Możeby przytem nie zaszkodziło przeczytać Maeterlincka, Poego i zbadać stronę estetyczną kierunku, nie tak znów bardzo „kazirodczą“ i zbrodniczą?

Wowczas autor nie dopatrywałby się początków szkoły w... Napoleonie I, w dorobkiewiczostwie, w zachęcie do pamiętania o buławie w tornistrze. Bo dlaczegóż np. nie sięgnąć do Agrypiny i Nerona, do Heliogabala i Baltazara, do Leona X, którego nadworni poeci umieli pożerać na jeden kęs — kapłona, do Juliusza II, Cezara Borgii i Piotra Aretina, no wreszcie choćby do Byrona, największego z fanfaronów występku. Coś niby mania odkryć podsuwa p. Kozłowskiemu pod pióro najzabawniejsze pomysły, jakieś strzępy paru przeczytanych książek. Jego „szusy“ nie mają tła, nie łączą się z przeszłością; jest to naiwne dorobkiewiczostwo literata, który z każdej przeczytanej stronicy ciągnąć chce tysiącoprocentowe zyski i uważa, że maleńki kapitalik, nie, raczej jakaś zasłyszana wiadomostka wystarcza do zbudowania „krytyki“ lub „poglądu.“ Tu wszędzie czuć grafomana, w dodatku chorobliwie ambitnego. Chce on być koniecznie mędrszym od zawodowców i nie zadawala go twierdzenie, iż kolebką dekadentyzmu jest romantyzm; nie ma pojęcia o tem, czem są parnasowcy i jaki pyszny most tworzą od niego ku dekadentom i nie wie, o czem nawet w podręcznikach szkolnych mógłby się powiadomić, jaką estetykę wyznawał Tieck, że jego program życia, użycia i sztuki jest po prostu starszym bratem *A rebours* Huysmansa. Ale za to powiedzieć o Brandesie i z miną kogoś, co kopie nogą, że jest „płytki i powierzchowny“ — nie kosztuje go nic.

Ale streszczenie Bourgeta nie stanowi jeszcze broszury, więc z nim połączył p. Kozłowski... Nietzschego i rzucił we wspólny dół potępienia. Doprawdy, tego sąsiedztwa chyba żaden z nich się nie spodziewał. Zanglezowany wytworniś i barbarzyński lanckneht idą pod pachę — pyszne widowisko! Wymoczki, impotensi cieleśni i duchowi maszerują razem z krzepkimi prusakami o szerokich barkach i byczych karkach. Nie, teraz już bym się nie dziwił wcale, gdyby na broszurce obok nazwiska „Kozłowski“ widniało jeszcze drugie: „Pytlasiński.“

Przypomina owo skojarzenie siły i brutalności z bezsiłą i wyrafinowaniem—owego uczniaka, który na zapytanie: co to są logarytmy? — odpowiedział: Logarytmy to olbrzymie korytarze w piramidach, gdzie chowano królów egipskich. Tylko że autor z labiryntami pomieszał co innego: indywidualizm, indyferentyzm, samolubstwo, a te mogą płynąć zarówno z idealizmu, jak z powoływanego nie wiadomo po co i na co materyalizmu. Toć Barrès widzi swego duchowego ojca w Fichtem. A Emerson, Tołstoj — indywidualiści najczystszej wody, czy to także sensualiści?

Na krytykę Nietzscheanizmu pisać się można w zupełności i autor ma racyę, gdy wyjaśnia jego u nas nieprzytomnych chwalców. Ale czy to tak się rozbiera potężny kierunek w dobie krytyki naukowej — za pomocą paru cytat i paru apodyktycznych sądów? A czy autor wie, co Dania wyprawiała z Brandesem, co chłopi norwezcy zrobili z Garborgiem, czy wie, co demokracya szwedzka urządzała Strindbergowi, czy wie o tem, że Ibsen musiał skazać się na dobrowolne wygnanie i czy rozumie *Wroga ludu?* Gdyby o tych i tym podobnych faktach pozwoliły mu wiedzieć jego liczne zajęcia filozoficzno - krytyczno - chemiczno - botaniczno - socyologiczno-statystyczno - ekonomiczne, nie zbywałby indywidualizmu wiązanką lekceważących frazesów. O ludziach, którzy zasłużenie czy nie, zagarnęli przecież władzę nad światem i rządzą potężnymi nawet umysłami, o kierunkach, które choć skądinąd szkodliwe, powstały z mnóstwa poważnych przyczyn tytułem prostej konieczności — wyrokować z paru książek w ręku, schwytanych dorywczo, a więc z pustemi rękoma!

Pan Kozłowski nie może oczywiście wiedzieć, kto to był Edgar Poë i do czego podłość *businessu* i burżuazyi może najszlachetniejszy umysł doprowadzić. Nie pomyśli on nawet, że dekadent to nie tyle sprawca złego, ile ofiara złego, że i on ma swoją siłę, swoje wstręty i nienawiści, a w tych łotrowskich czasach wstręt i nienawiść także coś warte i może nawet więcej niż niezrozumiała na dziś etyka Schillera, ktorym p. Kozłowski rozwiązuje wszelkie zagadki i zawiłości.

Do krytykowania książek filozoficznych zabierać się z taką szczyptą wiadomości z dziedziny twórczości ludzkiej i z dziedziny filozofii! Po co tumanić ludzi mędrkowaniem o Schillerze, kiedy wiadomo, że od jego czasów do naszych przepłynęły lat tysiące i że nas on niczego nie nauczy? Pan Kozłowski widać myśli, że dosyć jest stworzyć modlitewnik „O naśladowaniu Schillera,“ *edel zu begehren*, *erhaben zu wollen*, a wnet cnota zapanuje na świecie. O boska prostoto! A może być tak przeczytać parę książek z dziedziny etyki i psychologii woli?

Jest coś, niedającego się określić, w tonie, jakim autor mówi o Renanie, Tainie, Schopenhauerze, Straussie, Flaubercie: to sami geszefciarze, dorobkiewicze umysłowi! Pierwszemu przypisuje skończony dekadentyzm (w *Feuilles detachées* Renan jest wprost społecznikiem). Darwin, to „mieszczanin“ angielski, który miał „potworną myśl“ wyprowadzenie postępu z walki o byt. Wogóle laury Darwina nie dają spać p. Kozlowskiemu, który jako przyrodnik mógłby przecież wiedzieć, że był to umysł bezstronny, do wniosków niepochopny, w uogólnieniach powściągliwy, a więc nieodpowiedzialny wcale za ideę walki jako dźwigni społecznej. Rolf np. (*Biologische probleme zumal als Grundlage einer rationellen Ethik*) jest mimo swoje poprawki darwinistą i właśnie dlatego, że u zwierząt widzi nienasyconą żarłoczność, jako sprężynę rozwoju — ludziom nakazuje panowanie nad sobą. Podobnie Ritchie (*Darwinizm i społeczeństwo*), Dreher (*Darwinismus u. seine Consequenzen*) i stu innych wykazali dostatecznie, że walka o byt toczy się i w sensie odwrotnym, czyli między ideami i popędami *szlachetnymi*.

Mimochodem p. Kozłowski rozdaje szczutki na prawo i na lewo, nie oszczędził nawet Spinozy, a zawsze na swoje ofiary patrzy... z góry.

Zakończymy słowami samego autora: „Po co tyle wrzawy, tyle gniewów, tyle piany?“ Chyba ażeby dowieść, że wszystko, co mówi z oburzeniem o dyletantach, do nikogo w świecie nie stosuje się tak wybornie, jak do niego samego. Uzbroiwszy się w śmiałość niewiedzy, darzy przytem szczególną niechęcią i lekceważeniem wszystkich ludzi wybitnych dziewiętnastego wieku, wielu z nich niewinnych, jak Flaubert, bezpotrzebnie obrzydza czytelni-

kowi i wogóle do ich geniuszu dobiera się kluczykiem, który pasuje co najwyżej do szufladki mądrości dziennikarskiej.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Jeden dokument historyczny. — Obrazki malowane „w cieniu.“

Niezwykle ciekawy dokument ogłosiło jedno z pism hamburskich. W styczniu r. p. „Echo hamburskie“ pomieściło artykuł przeciwko dwu miejscowym firmom kupieckim, oskarżający je o faktyczne prowadzenie handlu niewolnikami. Artykuł był napisany silnie, arugmenty i dowody zebrane jasne: opinia publiczna oburzyła się obrazem nędzy, poruszono władzę, ale rozpoczęte śledztwo utknęło, nie wiadomo dlaczego. Najwiarogodniejszym świadkiem operacyj przemysłowców hamburskich był lekarz okrętowy, który przyglądał się rzeczy zblizka, ktry oczywiście wtajemniczony być musiał w tajemnice działalności „kulturträgerów“ afrykańskich: on to — niewierny! — stał się dzisiaj Walenrodem tej najzupełniej nowoczesnej latorośli średniowiecznego rycerstwa. Obecnie zajmuje już stanowisko poważne w uniwersytecie — i późno dowiedziawszy się o wypadkach powyższych, przesłał redakcyi list z podróży swej, pisany pomiędzy Whyda i Kamerunem pod świeżem wrażeniem przygód afrykańskich. Przytaczamy z niego główniejsze miejsca: „W Whyda mieliśmy przyjąć na statek 500—600 tak zwanych wolnych robotników, ażeby ich „odstawić“ rządowi Konga dla budowy kolei. Dostawą zajmowała się firma Woelber i Brohm w Hamburgu. Uproszony przez nią, miałem zbadać stan zdrowia robotników i „wybrakować“ nieużyteczne siły, ponieważ „firma chce tylko dostarczyć *towaru pierwszorzędnego gatunku*“ (Prima-Waare)... Kiedyśmy wylądowali w Wydha i kiedy zaprowadzono nas do „wolnych robotników,“ ujrzeliśmy obraz, który każdego człowieka musiał chwycić za serce. Na niewielkiej przestrzeni 150 metrów kw. klęczało 280 ludzi (200 mężczyzn i 80 kobiet). Musieliśmy zejść do nich na dół i patrząc w pierwszej chwili z góry, nie widzieliśmy nic, jeno pokaźną ilość na pół ostrzyżonych głów, które wszystkie bez wyjątku patrzyły w jeden punkt, ku drzwiom. Przypatrując się zblizka, sprawdziliśmy, że ubranie owych nieszczęsnych biedaków składało się tylko ze strzępków lnianej przepaski, którą nosili na biodrach i że jeden był połączony z drugim za pomocą bardzo prostych żelaznych przyrządów. Każdy mianowicie nosił na szyi żelazną obrączkę, zamykaną przy pomocy zwyczajnego zamku, prócz tego posiadającą na sobie wystające kółko, przez które przeciągnięty był łańcuch żelazny, pozwalający w ten sposób wiązać odrazu do 50 osób razem... Gdy oświadczyłem, że zamierzam zbadać robotników, wygnano ze schronienia (!) pierwszy łańcuch: dozorca chwycił za ramię pierwszego z brzegu i wyciągnął go na świeże powietrze—reszta musiała potoczyć się za pierwszym. Tutaj znowu uklękli — ale oświadczyłem, że nie przystąpię do czynności mojej pierwej, nim zdejmą z nich kajdany. Po długich kłótniach zgodzili się wreszcie na żądanie moje i rozkuto biedaków. Operacya ta odbywała się w ten sposób, że pierwszy z brzegu musiał położyć się na ziemi, przy pomocy młota rozbito na szyi kółko, przez które przechodził łańcuch i wyrwano go przy dużem napięciu sił z pozostałych obręczy. Cierpienia nędzarzy, jakie towarzyszyły temu wyzwalaniu, były straszne, jęki rozdzierały barwną iluzyę podzwrotnikowego krajobrazu. Stwierdziłem, że wszyscy byli zagłodzeni, a niektórzy pokryci strasznemi bliznami na głowach, karku i piersiach...“

Tutaj kończy się dokument, ale nie kończą się wcale obrazy, z których jeden w kilku prostych rysach narysował uczciwy lekarz, a jakich wiele innych stokroć smutniejszych budzić się winny w duszy europejskiej; tak, płyną obrazy i rozpoczynają się refleksye. Pomyśleć tylko, ile zgrozy, ile bezprzykładnej nędzy moralnej mieści w sobie ten komentarz do widoków ohydnych. Jeżeli bowiem cofniemy się we wspomnieniach naszych do lat najmłodszych, to łatwo bardzo uchwycić zdołamy nić, która w ewolucyjnym rozwoju naszej świadomości jest niekiedy prawie że najmocniejszą i nie ginie nigdy — jest to nić „niewolniczych“ doświadczeń naszych, która rozpoczyna się na progu „Chaty wuja Tomasza,“ prowadzi nas wokoło Livingstone'a, Camerona, Nachtigala, aż do dni ostatnich, aż do tryumfów Stanley'a i śmierci Emina Paszy. Jest wiele wrażeń, któremi czytanie dzieł takich i im podobnych zapełnia duszę dziecka, chłopca, człowieka, wrażeń dodatnich i ujemnych, dla pedagoga ważnych lub bezwartościwych, albo nagannych nawet, ale jest jedno, które zaznaczymy dzisiaj, rzucające się przedewszystkiem w oczy: jest to pogląd na europejczyka, jako na uosobienie najcudniejszych sił cywilizatorskich, jak na naturalny siewnik najwznioślejszych, prawdziwie chrześciańskich ideałów ewangielicznych w przeciwstawieniu do handlarza arabskiego, owego zwierzęcia żądnego łupu i zysku, krwiożerczego sępa pustyni, godnego syna arymanowego. Gdy kreślę te wyrazy, opanowywa mnie tak silne wspomnienie owych dni minionych i widzę najzupełniej jasno, namacalnie prawie pojedyncze skrawki kolorowanego obrazka, jakie zwykle zdobią opisy podróży, okręt piracki, wiozący niewolników, brodate, semickie oblicza handlarzów, pełne bezlitosnego wstrętu — i opromienione nimbem zwycięztwa twarze „białych,“ godnych naśladowania, kochanych i uwielbianych. Czas byłby jednakże, ażeby i z tej literatury zedrzeć grubą skorupę obłudy i kłamstwa. Któż oni są, ci zdobywcy promienni? Stanley z wysokości najwyższego szczytu pałacowego redakcyi „Nowojorskiego Heralda“; powiewający ku radości świata białą chorągwią kultury, przedziera się przez dziewiczy gąszcz Afryki, ażeby zburzyć istniejącą tam cywilizacyę, ażeby ludzi wolnych i szczęśliwych zatruć jadem chorób europejskich, spoić wódką — i wybrać im kość słoniową. Kiedy wraca, ścielą mu pod stopy kobierce z róż uwielbienia poetki — a on tymczasem jest jawnym i oczywistym agentem jakiejś firmy angielskiej, niemieckiej lub innej. Stanley — to nie imię, to „totem“ pierwotny, to typ. W szerokiem gardle najcenniejsze zdobycze nasze, światło i miłość — w wązkich piersiach najniższe instynkty drapieżca, najnikczemniejsze żądze rabusia albańskiego. Dzisiaj dla celów kultury (o naiwności człowiecza!) zwołujemy konferencye afrykańskie do Berlina, do Brukselli — jutro żołnierz hiszpański ucina kabylowi uszy. Są to rzeczy znane, opowiadane niejednokrotnie, opłakane już i oplwane. Ale to, co opowiedział nam powyżej lekarz okrętowy, jest poprostu czemś niebywale ohydnem, tak wstrząsającem, że ścina nam gorącą krew europejskiego samouwielbienia w żyłach i głos zamiera, nie zdolny rzucić klątwy! To już nie arab dziki, wyuzdany handlarz mięsa, to „biały,“ przysięgający co chwila na chrystyanizm, na miłość bliźniego, to wśród narodów europejskich najdumniejszy dzisiaj ze „swej“ cywilizacyi, ze „swych“ filozofów, ze „swego“ Boga. Jest w owym dokumencie kilka wyrazów, których nie zapomnisz chyba, czytelniku, póki życia: „my dostarczamy tylko towaru w najlepszym gatunku“ — pisze w umowie Shylock hamburski; ten „towar“ atoli — to nie niewolnicy — to są „wolni robotnicy.“

Wszak istnieje według umowy międzypaństwowej kilka parowców, przeznaczonych specyalnie do ścigania statków niewolniczych. Anglia na własną rękę już oddawna prowadzi ścisłe poszukiwania w tym kierunku i zdobyła sobie już pod tym względem sławę zazdrości godną. Mimowoli nasuwa się tutaj obraz szalupy, wiozącej owych 280 „wolnych nędzarzy“ — ściganej przez któryś z angielskich parowców. Gdybyśmy tę fantazyę dosnuli do końca i obecni byli w ten sposób tryumfowi anglików — jakież musiałoby być ich zdziwienie, gdyby w handlarzach swoich poznali braci, białych „w najlepszym gatunku,“ jaka rozpacz musiałaby ogarnąć obecnego przytem — człowieka. Nie przyglądałaby się tej rzezi „bratobójczej“ natura w majestatycznym spokoju Oceanu i nie uśmiechałaby się zwyciężającym promiennem ciepłem lazurowego nieba: stworzyłaby dla tego obrazu ramy odpowiednie — pianę morza, niebo z ołowiu lub orkan. Ale poprzez ten gniew tytaniczny, słyszałbyś zgrzyt przeraźliwy, górujący po nad wszystko — słyszałbyś śmiech piekielny dziejowego Mefistofelesa.

Zen. Por.

LISTY PETERSBURSKIE.

Znam pewnego jegomościa, który żyje głównie oczami. Czy to w polu, czy w mieście, byle ruszył w drogę, wnet setki przedmiotów zajmują jego uwagę: w każdem źdźble, w każdym przechodniu dostrzeże pewną odrębność, na froncie każdego domu dojrzy coś szczególnego a zwykle wesołego. Jest to człowiek, który umie czytać zjawiska, umie żyć. A zwykle powiada: nie masz takiej małej rzeczy, któraby nie uradowała oka ludzkiego. Dla złych chwil życia ma inną dewizę: bierzmy wielkie rzeczy za małe, małe — za nic.

Taki to człowiek powinienby pisać korespondencye. Czytelnik uśmiałby się śmiechem zdrowym, wesołym. Zjawiska życia nie są ani dobre, ani złe, wszystko zależy od poglądu. Nawet żmija, służąca poetom za wyraz podłości, nie jest podłą, lecz płazem, który chce żyć. Stworzenia, które umie pokonać i połamać — połyka, od silniejszych ucieka, gdy nie może uciec, broni się, czem umie, więc zębami. Wszyscyśmy tacy. Sama przyroda działa nie inaczej: pobudza do życia istoty z zasobem energii, słabych niweczy. Niestety, człowiek, który nie umie żyć oczami, żyje myślą, a myśl jest lichym przyjacielem. Wyobraźcie sobie, siedzimy wśród wesołego grona, zapijamy miodek ożywczy, a przynajmniej winko podrabiane, wszyscy gwarzą ochoczo, ci tańczą, tamci puszą się, inni schlebiają puszącym się — słowem, zadowolenie ogólne. Wtem twój myślący sąsiad powiada: „A wszystko to jest nicością! Za lat 50 w tejże sali będą inni ludzie, my zaś będziemy niczem — przyjemna gawędka!“ Taki myślący człowiek, patrząc na gmachy, rozważa: A może po za tymi murami nędza z głodu umiera, może panoszy się nikczemność? Architektura domu mało go obchodzi, promyków, co się łamią na szybach, nie dostrzega, psów filozofów, wygrzewających się na słońcu, nie widzi, wesołych nawoływań podwórzowej dzia-

twy nie słyszy; nie dziw więc, że i w swych korespondencyach umie tylko utyskiwać.

Jednym z takich utyskujących jest inżenier Rudnicki, który w gazecie *Nowosti* (nr. 335) zamieścił list, dowodzący, że Syberya wkrótce pozostanie bez lasu; zwłaszcza zaś podlegają niszczeniu cedry, modrzewie i brzozy. Na południu Syberyi jeszcze na początkach niniejszego stulecia z cedrowych ziaren zaczęto tłoczyć olej, a ponieważ szyszki mieszczą się na wierzchołkach drzew, więc dla dogodności ścinają całe drzewo i potem obierają szyszki. Popiół modrzewi jakoby szczególnie użyźnia grunt, więc włościanie dla mierzwy palą je całymi stosami. Brzoza daje sok, to też nadcinają ją wiosną, nie troszcząc się, aby szparę wczas zasklepić—drzewo ginie. Niezmierne przestrzenie puszcz ogołacają się, zwierzęta umykają ku *tundrom*, kraje bogate stają się pustynią.

Inny utyskujący — doktór Sołowjew, wymyślił sobie szczególną pracę. Spotykając uczącą się młodzież, rozpytuje malców, jak się żywią. Z 302 badanych okazało się, że 62 mają obiady w domu, 51 u gospodyń mieszkań, 10 *w normalnych stołowych*, 26 „gdzie się zdarzy“ i 153 w restauracyach. Najdroższy obiad kosztuje 80 kop., najtańszy — 9.

Statystyka ta dowodzi, że tylko trzecia część żywi się nieźle, jużci licząc, że 40 gospodyń dba o zdrowie swych stołowników, o czem jeszcze babka na dwoje wróży; reszta zaś truje się potroszę. Tak zwane *normalne stołowe* cieszyły się kiedyś szczególnym rozgłosem: zgromadziło się kilkunastu ludzi wiedzy i dobrej woli, obliczyło, ile przeciętny organizm potrzebuje rozmaitych pożywnych cząstek i podług tej miary sporządzono obiady proste, zdrowe i dosyć tanie jak na stolicę, bo mniej, niż po 40 kop. Natłok gości, pomimo że wprowadzono wiele niepotrzebnych formalności, był niezmierny. Niestety, potroszę przestano dbać o normę i zdrowotność, coraz bardziej dawała się odczuwać w zupie nieszczodra ręka kuchmistrza, aż wreszcie zaniechano dyżurów i ustąpiono przedsiewzięcie jednej osobie — została tylko nazwa. O innych jadłodajniach, które u doktora Sołowjewa noszą nazwę kuchmisteryj, nie warto mówić: margaryna powoli, ale z nieubłaganą stanowczością niszczy zdrowie. Szczęśliwi ci, którzy na lato mają dokąd umknąć i powracają jesienią rzeżwi i zdrowi, inni, nim otrzymają wieniec Minerwy, a przynajmniej różdżkę, stają się istotami bez życia, energii. Sami niezdolni odczuwać radości, zazdroszczą wszelkim przejawom życia. Są to ludzie myślący, ale tą myślą, co szepcze: wszystko jest nicością.

Gdy wszystkich, w kim pozostała choć iskra rozsądku, wstrząsała wiadomość o bezcelowym wybuchu w Paryżu, pewien prawnik tak mi objaśnił to zjawisko:

Zawsze były jednostki, mające szczególny popęd do zabójstw: Fra-Diavolo, Rinaldini itp. głośni zbóje dawniej, gdy puszcze zalegały całe kraje, pełnili swoje krwawe rzemiosło z wielkiem powodzeniem. Dziś żaden z takich opryszków nie może być postrachem okolicy, po pierwszej bowiem próbie będzie skrępowanym. Otóż, stosując się do nowych okoliczności, ci herszci przybrali inne imię i czyniąc zadość swej krwiożerczej naturze, sprawiają spustoszenia innym sposobem. Dawniej z takimi jegomościami niewiele robiono ceremonij, czas i dziś o tem pomyśleć. O swobodzie przekonań ze zbójami nie warto gadać: jeżeli są to ludzie chorzy na umyśle, muszą być zamknięci w szpitalu; jeżeli złej woli — niech giną. Niema innego wyjścia z tego zaczarowanego koła.

Dnia 17 grudnia odbył się doroczny koncert katolickiego Towarzystwa dobroczynności. W tym roku, jak zwykle, odznaczał się doborem. Zawerbowano wreszcie i p. Wierzbiłowicza, który dźwiękami swej czarownej wiolonczeli wdzierał się do duszy słuchaczów. Z Cesarskiej opery baryton p. Jakowlew odśpiewał aryę z „Tanhäusera“ i kilka piosenek, a wszystkie ze zwykłem powodzeniem. P. Mrawina śpiewała po francusku, po rusku i polsku. Znana w stolicy Kuza i mniej znana a również utalentowana Niwińska odśpiewały: pierwsza aryę Małgorzaty z *Fausta*, druga — Giocondy. P. Blumenfeld (na fortepianie) poprawnie i z wdziękiem głosił Chopina (Mazurek, Nocturn i Polonez). Dodawszy imiona Giraldoniego (piękny baryton) i p. Dumenny, który deklamował lekkie francuskie utwory wierszowane — będziemy mieli wszystkich.

Akompaniował i rej wodził na artystycznym wieczorze p. Dłuski.

N. B.

TRZEBA MIEĆ METODĘ.

(Dokończenie).

Typ d-ra Blagieradzkiego przypomina wielce swą hałaśliwością gorsze typy „uczonych“; gdyby był kobietą, nosiłby pewno bufy niesłychanej wielkości, urządzał rauty, bale, koncerty, a w czasie wycieczek „za ocean“ starałby się jechać zawsze na jednym okręcie z arcyksiężniczką Stefanią.

Ponieważ doścignięcie wielkości na polu naukowem, jako mniej wdzięcznem, jest trudniejsze niż na belletrystycznem, więc podczas gdy metoda Kawałkiewicza jest jedyną, a on sam doskonałym typem, mistrzem, do którego każdy z młodych adeptów literatury nadobnej stara się mniej lub więcej zbliżyć, to na polu naukowem jest parę metod, parę typów; przypatrzmy się jeszcze niektórym.

Oto np. taki dr. Kapłański nie zadaje sobie bynajmniej trudu śledzenia za rozwojem wiedzy; czego się nauczył przed laty może trzydziestu tem wciąż wojuje, a ponieważ nie zużywa sił na pracę umysłową, więc posiada duży zapas energii nieuwięzionej, to jest dużą swadę i butę, krzyczy głośno, tupie nogą i wymyśla na wszystkich, szczególniej na „niedojrzałych“ (tj. takich, którzy niepojmując jego „metody,“ śledzą za rozwojem wiedzy). Tym sposobem udaje mu się ludzi zahukać; jest on członkiem wielu redakcyi, należy do różnych komisyi i za te zajęcia każe się dobrze honorować. Ta metoda jest już nieco gorsza, albowiem buta może się ludziom wreszcie uprzykrzyć; a przytem „metodolog“ uniesiony nią zatraca samoocenę, zbytnio lekceważy przeciwników, zbytnio się naraża i tym sposobem, zbierając pewien czas laury, musi wreszcie kark skręcić.

Typ Kapłańskiego ma formalnie coś z zacięcia Bismarka, tylko brak mu, niestety, odpowiedniej siły; typ ten nazwano też słusznie „kapitanem roty.“

Jeszcze jedna metoda używana szczególniej w Galicyi polega mianowicie na tem, że będąc jeszcze na uniwersytecie metodolog zaskarbia sobie względy jakiegoś wpływowego profesora, który zaopiekuje się za to swym pupilem. Oto taki np. dr. Biały, który dla nadania sobie cenionego w Galicyi rodowego splendoru dodaje czasem do swego nazwiska pewne przydomki niemieckie tak, iż całe jego nazwisko brzmi pięknie: Dr. Weiss von Weissenberg Biały; zajmował się przez pewien czas jakimś przedmiotem, naturalnie najbardziej w Galicyi cenionym, ale w tym kierunku wypromować go było trudno: ogólny sąd o nim brzmiał jak sąd owego półkownika o Bartku zwycięzcy, gdy Steinmetz chciał go wypromować na podoficera; promotorzy więc naszego metodologa kazali mu się wyuczyć innego przedmiotu, który jak sądzili, mniej wymaga rozumu. No i tym sposobem dr. Weiss von Weissenberg został c. k. przysięgłym urzędnikiem od nauki, którego obowiązkiem jest robić wypisy z książek zagranicznych oraz wykazywać różne nowe i głębokie prawdy jak np. że kolejami się prędko jeździ, że korki wynaleziono po wynalezieniu butelek, że upał w lesie jest mniejszy, że woda pod wpływem ciepła paruje itd. itd. To też dumny ze swego tak wysokiego stanowiska urzędowego, gromi on z wysokości mandaryńskiego fotelu i to bez dowodów (albowiem „zbyt na to ceni czas“), gdy tylko ktoś z po za granic Galicyi ośmieli się wkroczyć na pole jego specyalności, nie posiadając c. k. marki; istny finanzwach galicyjski, konfiskujący tytoń i wódkę, nie posiadające austryackiej banderoli.

Dr. Weiss przypomina nieco typ d-ra Kapłańskiego, tylko, że gdy ten ostatni czerpie swą zarozumiałość w pewnej bismarkowskiej swadzie, w temperamencie, w swojem ja, to pierwszy — jedynie w swem c. k. urzędowem stanowisku.

Wreszcie do metod zaliczyć też należy żeniaczkę z bogatemi staremi pannami wysokiego rodu, praktykowaną szczególniej w Galicyi; metoda ta prowadzi też szybko do stanowisk i zaszczytów, jest jednak, że tak powiem, nieco niehygieniczna. Kto więc chce jej używać, powinien się dobrze obrachować z siłami oraz polecić opiece Matki Boskiej.

Charakterystyczną cechą wszystkich „metodystów“ jest cześć dla stanowisk nominalnych i tytułów naukowych (bo one są murem obronnym dla wszelkiej głupoty i chronią ją od zaniku, są pancerzem w walce o byt z ludźmi prawdziwej nauki), dalej wstręt do wszelkich sporów naukowych i polemik (w świetle których ich głupota mogłaby się zbyt jaskrawo przedstawić), do wszelkiej nowej myśli, walczącej ze starym porządkiem; „dopiero gdy ta myśl zwycięży biorą jej stronę przeciwko dalszej ewolucyi“; mają instynkty, które Lapouge nazywa „trzodowemi.“

Kwintesencya „metod“ na tem polega, aby wyprowadzić w pole społeczeństwo i za pomocą minimalnego zużycia sił, nie dając społeczeństwu nic prawie, a nawet przynosząc mu fałszywymi produktami szkodę, otrzymać od niego maximum dóbr materyalnych i moralnych. Metodyści więc są to jednostki, których społeczeństwo powinno ścigać zarówno jak wszelkie pijawki społeczne. Ale że krytyczny zmysł społeczeństwa jest jeszcze bardzo mało rozwinięty, więc „metodyści“ jeszcze długo będą zbierać laury, panować; długo jeszcze zamiast sami uledz prześladowaniu, oni tytularną powagą i środkami materyalnymi będą prześladować pracowników cichych i sumiennych, którzy poświęcili swe życie dla pewnej idei i są przez to solą w oku, widomym wyrzutem dla metodystów. A niechże jeszcze który z tych skromnych pracowników zajmie się jakimś przedmiotem niemiłym, nieprzyzwoitym, albo niech będzie tak niegrzeczny i źle wychowany, że będąc potrącony oślem kopytem Letkiewiczów, Weissów, Kapłańskich *et tutti quanti*, odeprze ich napaść, dowiedzie im braku nauki i etyki; wtedy naturalnie podlegnie formalnej nagance, albowiem patentowani uczeni, metodyści, filistry, drzemiący na synekurach, lękają się zawsze „gdy pośród tłumu błyśnie w ogniach twarz człowieka“; podrywa to ich chińską powagę, zmusza do śledzenia za postępami wiedzy zamiast spokojnego „dojrzałego“ przeżuwania rzeczy odwiecznych. Będą więc, oparci na swej nominalnej powadze, śród wydawców rozsiewać wiadomości, że takiemu pracownikowi „brak podstaw naukowych,“ będą starali się zabić go moralnie za pomocą stronnych, niesumiennych krytyk, na które nie przyjmą odpowiedzi i tym sposobem zmusić do wyniesienia się z kraju lub ugięcia karku. Stąd

to tak częsty u nas *typ człowieka-ruiny*, stanowiący nieraz pośmiewisko dla ludzi przeciętnych, filistrów, którzy ani się domyślają, co się pod temi ruinami kryje, jaka jest ich przeszłość, jakie koleje. Dopiero głęboki znawca serca i duszy ludzkiej z jednego przelotnego spojrzenia, gorzkiego uśmiechu, z jednej myśli, błyskającej niekiedy z pod śmiertelnego całuna apatyi, z rozpaczliwej chwilowej energii, zwykle nieoczekiwanej, zrozumie, czem był taki człowiek, czem mógłby był zostać. Tak uczony podróżnik, stojąc śród mchem lub pyłem pokrytych odwiecznych ruin, po których drapieżny syn pustyni, niewolniczy fellach lub obojętny potomek Inkasów depcą bezmyślnie, potrafi z ułamka muru, z nawpół zatartego napisu poznać i odtworzyć tę budowę, co niegdyś wznosiła się dumnie ku obłokom zanim zębem czasu, ręką złych ludzi lub kulami wroga została strącona w dół...

Na szczęście śród tej garstki pracowników, wzrosłych w ciągłej ciężkiej walce, zmuszonych do ciągłego stawiania czoła wszystkiemu, do przezwyciężania wszelkich bólów i trosk z milczącą pogardą i zaciśniętemi ustami, zdarzają się *natury żywiołowe*, których nic zniszczyć nie może, ani ugiąć ich żelaznego karku, choć godzi na nich zewnątrz koalicya filisteryi, zawiści i więzów społecznych, choć wewnątrz szarpie ich hydra Vandei; hydra walk między pragnieniami wszechstronnego ducha i obowiązkami kół machiny społecznej, między uczuciem i rozumem, teoryą i praktyką itd.; choć wszystko, co ich otacza, co może być podporą, otuchą, rozsypuje się w gruzy. Ludzie ci mogą bez przesady mówić o sobie z poetą „i jakąś dumą drży moja warga, że w tych płomieniach nie ginę.“ Gdy się patrzy na nich, przypominają się słowa, jakie pewien wódz floty wypowiedział, donosząc swej władzy o niepokonalnym nieprzyjacielu: „nie pojmuję, co za ludzi oni mają; cała wyspa stoi w płomieniach, wszystkie ich forty zamieniłem w gruzy, a jednak nie zdołałem wyprzeć wroga z jego stanowisk.“

Lecz ludzi takich jest drobna garstka, więc chociaż sami się nie ugną, czyż potrafią jednak pokonać całą filisterską tłuszczę, czyż głos ich nie przebrzmi niedosłyszany śród ryku tego stada, śród skrzeczenia tych żab?

W każdym razie długo jeszcze nad naszem bagnem umysłowo-społecznem unosić się będą „tańcząc lekko“ zadowoleni z siebie filistersey z „buzią jak malina“ Kawałkiewicze oraz aroganckie „wspaniałomyślni“ Blagieradzcy, długo kroczyć będą poważnie w czapce c. k. fidanzwacha ze sztywnością mandaryńską Weiss von Weissenbergowie; długo stąpać hardo z zadartymi karkami w pikelhaubach Kapłańscy. Podczas gdy prawdziwi pracownicy nauki — ludzie idei długo jeszcze brnąć będą w tem bagnie lub widząc daremność walk i zabiegów wydostawać się będą na twardsze brzegi okoliczne, by już nigdy do bagna nie wrócić. To też drogą takiego wybrakowania bagno staje się coraz wyłączniejszą dziedziną fauny typowej bagniskowej, zupełnie przystosowanej — wszystko zdaje się, co przedstawia stadyum wyższe nad płazy, ginie albo uchodzi.

Zdaje się nie pojmujemy tej prawdy, że stosunek między wielkością pogrążenia i dostrzegalności pierwszych i drugich z wyżej przeciwstawionych grup, między stopniami ich moralnego powodzenia śród społeczeństwa jest probierzem siły organizmu społecznego, jest miarą jego zdrowia i rozwoju lub zwyrodnienia i zaniku *).

Wacław Nałkowski.

*) Na tle tego ponurego obrazu punktem jasnym jest wysokie nagrodzenie przez kasę Mianowskiego właśnie jednego z takich nieposiadających „metody“ — L. Krzywickiego. Jeżeli jako o punkcie jasnym mówimy tu o nagrodzeniu Krzywickiego, to nie dlatego, żebyśmy chcieli ujmować pod względem *naukowym* zasług innym laureatom, lecz dlatego, że Krzywicki jest typem, o jaki nam właśnie w ciągu całego artykułu chodziło, który chcieliśmy uwydatnić za pomocą kontrastu, typem, który zdobywa wiedzę śród ciężkiej walki o byt. A kto mimo wielkiego zużycia sił na tę walkę, mimo wielkiego obciążenia, wdziera się w nauce na wyżyny, ten musi posiadać niezwykłą siłę absolutną; choćby więc w *nauce* dorównywał tylko innym, to jako *siła absolutna*, jako *równoważnik mechaniczny*, musi mieć od nich wartość większą; powstaje bowiem pytanie, o ile wyżej wedrzeć by on się na wyżyny nauki potrafił, gdyby stąpał tak jak inni, bez obciążenia.

I tu znów więc okazuje się korzyść stosowania tych zasad oceny, jakieśmy postawili w artykule „Natura i siła.“

PAMIĘTNIK.

Jak się robi badanie naukowe.

Poseł Prawdy się omylił, chociaż znając „naukowe“ maniery naszych eusapistów, nie powinien był mieć żadnych złudzeń. Po odkryciach bowiem Rajchmana nie odżegnali się od kuglarki, nawet w najdrobniejszej cząstce nie przyznali mu racyi i zasługi, ale napadli go osobiście i osypali płaskimi konceptami. Gdyby nie było żadnego innego dowodu, znamionującego naturę owego szabasu medyumicznego, tylko ten jeden, już byśmy wiedzieli z kim i z czem mamy do czynienia. Crookes lub jakiś inny badacz naukowy, usłyszawszy od swego kolegi, bądź zarzut co do ścisłości kontroli, bądź wyznanie, że przeniknął tajemnicę sztuczek medium, powiedziałby tak: Zmienimy warunki według twojej rady, a ja będę uważniejszym w kierunku twojej wskazówki — zobaczymy. Wtedy albo oba zdemaskowaliby oszustwo, albo nie, a w tym ostatnim wypadku Crookes oświadczyłby: pomimo zastosowania ostrożności mojego kolegi, nie mogłem dostrzedz tego, co on dostrzegł. Eusapiści nie uważają takiej metody za właściwą, pewną i „naukową“, lecz używają innej, skuteczniejszej. P. Rajchman, podnosząc coraz wyżej zasłonę w *Kuryerze warsz.*, twierdzi, że p. Ochorowicz „utrudniał mu badanie i zdanie sprawy“, że „komunikował Eusapii przekonania i spostrzeżenia badających“ i że „należało być równie ostrożnym wobec p. Ochorowicza, jak wobec Eusapii.“ Nie dość tego. Gdy p. R. ogłosił swoje odkrycia, zamiast ich krytyki przedmiotowej, eusapiści utworzywszy „łańcuch“ medyumiczny zaczęli około niego tańczyć z drwinami, szykanować jego wzrok, zdrowie itd. To się nazywa postępowaniem „naukowem“ i „poszukiwaniem prawdy.“ Jeżeli oni coś *widzą*, to jest niewzruszonym dowodem, ale jeżeli kto co innego *widzi*, to jest kłamstwem. Jeżeli świadek krótkowzroczny potwierdzi cud, uznają jego świadectwo za wiarogodne; ale jeżeli mu zaprzeczy, ogłaszają go za chorego. Jeżeli znajdują się na zwyczajnem przedstawieniu kuglarskiem, to chociaż nie znają tajemnicy tłuczenia zegarków w moździerzu lub połykania szpad, nie wątpią, że są to złudzenia zręczności magicznej; ale jeżeli medium pokaże im jakąś „lewitacyę,“ to chociażby przekonali się, że w innych wypadkach pomaga sobie nogą lub ręką, bronią „nowej siły.“ Jeżeli agent policyjny, tropiąc mordercę, naprzód podejrzywa Pawła, a potem, zebrawszy większą ilość poszlak, aresztuje Gawła, pierwsza jego omyłka wydaje im się naturalną. Ale jeżeli obserwator naprzód posądza medium o posiłkowanie się prawą ręką, a potem odkrywa lewą, wciągają do „protokółu“ tę sprzeczność mniemań. Gdybyś, czytelniku, był sędzią i przyprowadzono ci biedną babę, u której znaleziono: kosztowne kolczyki, zegarek, pierścionek i bransoletę i gdyby udowodniono, że zegarek, pierścionek i bransoletę ukradła, pochodzenie zaś kolczyków nie zostało wyjaśnionem; czy uwierzyłbyś, że je otrzymała od ducha Hannibala, czy przypuściłbyś, że je również ukradła? Człowieku — ostrożnie! Bo jeżeli ta baba należyć będzie do mediów, musisz uwierzyć w jej przyjacielskie stosunki z duchem Hannibala. Wtedy masz prawo do godności prawdziwego eusapisty.

Pojmujemy, że biedne ćmy, pragnące spalić się w jakiemkolwiek omroczonem świetle, pomimo wszystkich odkryć, ginąć mogą i będą w ogniu łojowej świeczki medyumizmu; ale opuszcza nas zupełnie zdolność rozumienia ludzi, którzy w hecy z Eusapią widzą „badanie naukowe.“ Jest to — humor karnawałowy, obłęd, spekulacya dążąca do opanowania łatwowiernych umysłów, jasełka z Łysej góry— co chcecie zresztą, tylko nie „badanie naukowe,“ nie „poszukiwanie prawdy.“ Eusapiści albo nie chcą wykryć istotnej prawdy, albo nie mają pojęcia o badaniu istotnie naukowem. Zaprawiają skandal drożdżami polemicznemi, który na nich szybko rośnie bez żadnej wartości dla wiedzy ścisłej. *P.*

Łatane futro.

Prostowanie zygzaków logiki p. B. Prusa i jego natchnionych improwizacyj byłoby pracą daremną. Myśl szanownego przewodnika naszego już inną drogą chodzić się nie nauczy. Ale oświetlenie od czasu do czasu dowodów słynnej jego teoryi cudzysłowu może dać tę korzyść, że nam pozwoli bliżej wejrzeć w tajemnice literackiego... mediumizmu. Jak wiadomo, taktyka polemiczna p. Prusa polega na tem, że on produkuje fakty nigdy nieistniejące i wyrażenia nigdy niewypowiedziane, które zapisuje na rachunek przeciwnika — dla większej ścisłości—z cudzysłowem. Jeżeli zaś kto mu przytoczy własne jego wyrazy, nazywa to „arcydziełem bezczelności.“ Otóż dzięki temu mediumizmowi, utrzymuje on w *Kuryerze codz.*: 1) że „Poseł Prawdy wciąż częstuje bliźnich kapsułkami z *systemu materyalistycznego*“ (wyrazy podkreślone p. Prus drukuje w cudzysłowie), podczas gdy ów Poseł Prawdy więcej przeciwko materyalizmowi napisał, niż p. Prus przeczytał; 2) że „Poseł Prawdy wyrokuje o rzeczach, których nawet powierzchownie nie zna,“ podczas gdy nietylko zaznajomił się z główniejszemi pracami w tym przedmiocie, ale nawet tłomaczył jednemu z kontrolerów Eusapii badania Crookesa z nieznanego mu języka itd. Ale to są drobiazgi. P. Prus, przeczytał w *Prawdzie*: „nie mamy dotychczas prawa obarczać zarzutem wspólnictwa z Eusapią i złej wiary łatwowiernych uczestników posiedzeń, którzy wcale nie odezwali się publicznie.“ Po pierwszych odkryciach Rajchmana aż do chwili napisania powyższych słów ani jeden z uczestników nie odezwał się publicznie — a zatem nikogo jeszcze nie oskarżyliśmy o złą wiarę i wspólnictwo. P. Prus pisze: „w imię jakiejś zasady moralnej Poseł Prawdy zarzuca ludziom uczciwym *wspólnictwo w bezczelnem kuglarstwie*“; a gdzieindziej: „tym, który o niej pisali, zarzuca *złą wiarę i wspólnictwo*.“ I jeszcze nie dosyć. Wiadomo czytelnikom, że uwagi nasze były oparte na odkryciach naocznych świadków, dr. T. Herynga i B. Rajchmana. P. Prus woła: „A tak przecie było łatwo zaczekać z „*niecofnionym wyrokiem*“ (znowu cudzysłów stworzony mediumicznie) na głosy naocznych świadków.“

Oczom nie wierzysz, a jednakże — jak w mediumizmie — widzisz!

Wobec takich cudów, ojcowie nasi mawiali — jak twierdzi p. Prus: „kiedy łgać, to już śmiało!“ My zaś powiemy: p. Prus bardzo słusznie wydrwiwa nasze stare wytarte futro filozoficzne, bo na jego połatane mediumizmem nas nie stać.

Rezultat siedzenia.

Kolonie letnie otrzymały z tegorocznego siedzenia pań w sklepach 2,574 rs. Zapewne, jest to suma posilna dla tej biednej instytucyi, lecz czy żadną inną, nieco szlachetniejszą drogą nie mogłaby być zebraną? Jeżeli zważymy, że w niektórych sklepach kilkodniowe siedzenie dam przyniosło zaledwie parę rubli ubogim dzieciom, to przyjdziemy łatwo do wniosku, że gdyby każda z nich trzy dni w roku poświęciła jakiejkolwiek pracy, do której jest uzdolniona i gdyby owoce tej pracy zostały sprzedane w jakimś, umyślnie na ten cel urządzonym bazarze, możnaby co najmniej osiągnąć takąż kwotę. A dlaczego byłoby to lepszem? Zaraz obliczymy. Rabat kupiecki jest ofiarą, ale siedzenie nie jest żadną. Powtóre, podczas kwesty weszliśmy do pewnego sklepu, z którego kolonie letnie otrzymały około 4 rs. i znaleźliśmy w nim trzy damy, które bawiły się wybornie, osładzając sobie rozrywkę cukierkami z ładnej bombonierki. Najskromniej oceniając, rzec można, że te cukierki warte były 4 rs., poco więc było siedzieć przez parę dni i wyciągać od kupca procent z targu, kiedy można było siebie uwolnić od fatygi a jego od daniny, przeznaczywszy koszt cukierków na dochód kolonij letnich? Możnaby nieraz dziwić się wielce, dlaczego ludzie wybierają drogi dłuższe, zamiast krótszych, gdyby dłuższe nie obiecywały... zabawy, o którą nam bardzo chodzi, nawet szlochając nad cudzym smutkiem. Pytałem raz służącą, czemu ona idzie do Częstochowy, zamiast jechać koleją: „Proszę pana — odrzekła — w kompanii jest rozweselenie, a w kolei — nie.“ Ludzie do nieba chcą się dostać wesołą drogą.

Syreni głosik.

W przeszłym numerze zaznaczyliśmy, że Zola ogłosił list publiczny do przedstawicieli prasy ruskiej, nakłaniając ich do popierania konwencyi literackiej między Rosyą a Francyą. Tym razem słynny „naturalista“ zamknął oczy na rzeczywistość i wyśpiewał syrenim głosem tyle rozkosznych korzyści, jakie by odniosła literatura ruska, że aż mu zbrakło miejsca dla wspomnienia o zyskach francuskiej. Bo prosimy zważyć: 1) dzięki swobodzie przekładów, tłomaczenia są okropne, a żaden nakładca nie korzysta z monopolu i musi dzielić się z innymi; 2) powódź utworów obcych zalewa i tłumi produkcyę swojską, skutkiem czego autorowie miejscowi nie mogą otrzymywać wysokich honorariów; 3) ich prace nie przynoszą im żadnego dochodu z przekładów francuskich itd. Słowem, traci głównie — powtarzamy — głównie literatura ruska. I oto Zola, który w najidealniejszych ludziach i stosunkach widzi przedewszystkiem *bête*, nagle w tej sprawie zamienił się na apostoła czystych uczuć bezinteresowności i dbałości o cudze dobro. Pomimo węzłów przyjaźni, łączącej oba narody, wątpimy bardzo, czy przedstawiciele prasy ruskiej dadzą się uwieść syrenie paryskiej i uwierzą jej zapewnieniom. Pojmują oni bowiem ten prosty fakt, że ich piśmiennictwo musi się żywić płodami cudzymi, a nie może za nie płacić według norm przyjętych za granicą, zwłaszcza we Francyi. Jeżeli prawdą jest, że tam autor sławny otrzymuje za tom powieści 100,000 fr., to za przekład jej będzie żądał 25,000 — a który wydawca w Rosyi zdoła taką sumę zapłacić? Usuwając na bok wszelkie złudzenia, jak to zawsze czyni Zola, wyznajmy otwarcie, że jemu wcale nie chodzi ani o literaturę ruską, ani o jej autorów i wydawców, lecz o własne stracone zyski. Boli go niezmiernie, że jego powieści wychodzą w tylu tłomaczeniach, a on za to nie dostaje ani centima.

Jak wiadomo, nieboszczyk W. Szymanowski, wplątawszy się niepotrzebnie do „międzynarodowego stowarzystenia literackiego,“ głosował na jego „kongresach“ za konwencyą. Zwalczając tę myśl ze stanowiska własnej literatury, przedstawiliśmy wszystkie zgubne następstwa takiego układu. Dziś ówczesnych wywodów naszych powtarzać nie będziemy, tem bardziej, że każdy z łatwością sam je sobie wysnuje.

Jeszcze objawienie.

A więc nie jesteśmy jeszcze ostatnim z narodów, bo zdobyliśmy się nietylko na Pytlasińskiego, ale także na swojskiego chowu „dekadentyzm.“ Poród tego nowego *yzmu* odbywał się w cichości, posiadającej tę wadę, że była aż nazbyt głośną. Naprzód z różnych stron dolatywały pogłoski o istnieniu jakiejś „herbatki,“ która miała pomódz w porodzie; później ktoś, latający niby kura z jajkiem i gdaczący, zapewnił, że maluczko jeszcze, a ujrzymy manifest, zwiastujący świt nowej zorzy na ubogim widnokręgu naszej poezyi. Doczekaliśmy się owej wiekopomnej chwili. Wprawdzie orędzie nie zbyt uroczyście zjawiło się w naszym zakątku umysłowym. Zeszło ono do rozmiarów bardzo maluchnej broszurki — co zresztą nie jest jeszcze grzechem—która ma nas przekonać, że w Warszawie również posiadamy rzeczników dekadentyzmu. Przytem nauczyliśmy się sporo. Naprzód dowiedzieliśmy się, że istnieje na tym ziemskim padole płaczu i zgryzoty pan Wincenty Ronisz, szlachcic czystej krwi, pieczętujący się Ślepowronem. Następnie przekonaliśmy się, że posiada gorących wielbicieli, bo cała broszurka opowiada nam jedynie o tym nieznanym rodaku, wprowadzającym ludzkość na nowe tory. Wiemy zatem, że p. Pilecki i Felicyan zaledwie mogą z nim się porównać; dalej dowiadujemy się, jakich pseudonimów używał p. Ślepowron-Ronisz w swoich licznych ćwiczeniach, które znana z wielkich wymagań redakcya *Ziarna* umieszczała dla zapełnienia bezpłatnie swoich łamów. Autor z niezmierną troskliwością przytacza zdania, wyrzeczone przez tę gwiazdę dekadentyzmu i jej głęboko filozoficzne dekadenckie wierszydła. P. Wincenty Ślepowron Ronisz jest prorokiem, jedynym i wyłącznym, nowej ery, który zasługuje na to miano. Wprawdzie autor wspomina jeszcze o jakimś Miriamie, jakimś Lange, ale nie wiele o nich mówi, niegodni są bowiem rozwiązać rzemyka u sandałów mistrza. Tyle nauczyła nas broszura o warszawskim dekadentyzmie. Ale zarazem wywołała ona niespodzianki inne. Naprzód Lange i Miriam, potem Wolski i Raczyński wyrzekli się wszelkiej solidarności z panem Roniszem, którego obwinili o grubą niedyskrecyę.—pono nie pierwszą w życiu. Sądzimy, że po tem wszystkiem pozostaje p. Roniszowi iść za tym samym przykładem i wyrzec się wszelkiej solidarności z dekadentyzmem. Zyska na tem, że ludzie nie będą go podejrzywali, iż sam sobie palił kadzidła... *L.*

Orzeczenie Senatu.

Senat rozstrzygnął ważną kwestyę wyrokiem, który będzie miał znaczenie zasady prawno-sądowej. Właściciel majątku, wystawionego na subhastacyę przez Towarzystwo kredytowe ziemskie i opisanego w inwentarzu, sprzedał część lasu, przewyższającą potrzeby gospodarcze oraz kilka budynków drewnianych. Pomimo że suma, osiągnięta z licytacyi folwarku, pokryła w całości należność Towarzystwa, powstało pytanie — bardzo ważne dla dalszych wierzycieli — czy mimo to dłużnik dopuścił się roztrwonienia przedmiotów zainwentarzowanych i oddanych pod jego dozór? Otóż Senat odpowiedział twierdząco, czyli że dłużnik, dopuszczający się tak zwanej dewastacyi majątku, chociażby subhastujący go wierzyciel został zaspokojony, podlega odpowiedzialności — karnej. Czyżby ta zasada miała już zapobiedz niszczącej gospodarce „dyablów na wylocie“? Niewątpliwie ich skrępuje, a jeżeli wypadki dewastacyi staną się rzadsze, skorzystają na tem przed innymi... ziemianie, którzy może wreszcie odzyskają prawie całkiem stracony kredyt swych hipotek.

Na rampie.

Zapewne nie każdy czytelnik wie, co to jest „rampa,“ więc słówko wyjaśnienia: Tak się nazywa platforma kryta, bez ścian, gdzie się zatrzymują pociągi towarowe dla ładowania lub przeładowywania. Miejsca takie na wszystkich kolejach posiadają liczne stacye. Między innemi istnieje ono na drodze Wiedeńskiej w odosobnieniu daleko za miastem, w okolicach Czystego. Oprócz prostych robotników, pracują w tym punkcie, niezmiernie ożywionym, urzędnicy, a raczej przeważnie dyetaryusze, posyłani tam na praktykę dla wypróbowania sił i cierpliwości. Schronieniem dla nich jest „biuro,“ czyli dziura przewiewna, zawsze natłoczona interesantami, ogrzewana gazem u góry, wychładzana przez drzwi otwarte u dołu. W pobliżu są także inne podobne budy, przeznaczone dla pracowników obsługujących dział towarowy, bardzo ruchliwy, a więc i najcięższy w zimie. Przed paru dniami spotkałem znajomego urzędnika z owej dzielnicy; był zbiedzony, blady i trochę drżący. — Co panu jest? — Nie wiem sam; chłód i ból po kościach chodzi, głowa pęka. Musiałem dziś się zaziębić w biurze. — A cóż to za biuro wasze, w którem można się zaziębić? — Jest ono za rogatką, obsługuje wydział towarowy. Nie napalono dziś w piecach, więc atrament zamarzł, tak iż z tego powodu znalazłem się w wielkim kłopocie. Na szczęście udało mi się kałamarz rozgrzać rękami, ale za to zgrabiały mi one przy pisaniu, a nóg dotąd nie czuję, chociaż, jak pan widzisz, uszedłem już szybkim krokiem parę wiorst w powrocie do domu. Owe chłodne biura, gdzie atrament zamarza i pracownicy kostnieją, to ogniska interesów, dających krociowe dochody przedsiębiorstwu kolejowemu, rozgrzewających rzesze akcyonaryuszów. Jakiś ułamek tysiączny od ich dywidendy wystarczyłby na wzniesienie obszernych, ciepłych i widnych budynków dla armii najmitów, pracujących dla powodzenia przedsiębiorców. Ale to nie jest rzecz nagląca... *P.*

Złudzenie.

Utkwiła mi w pamięci charakterystyczna scena z pewnego utworu satyrycznego. Wybierano wójta. Ponieważ gromada nie życzyła sobie dawnego ponownie, bo jej dobrze dokuczył, więc jeden ze sprytnych jego zwolenników zaproponował rzeszy niechętnej taki system: „Kto z was jest przeciwnym kandydatowi, niech stanie obok mnie po lewej stronie, kto zaś głosuje za nim — niech przechodzi na prawą.“ I w jednej chwili po lewej stronie znalazła się niemal cała gromada, po prawej — zaledwie kilku. Wówczas doradca wykręcił się na pięcie w przeciwną stronę i zawołał: „Wybór dokonany! Znaczna większość przeszła na prawo.“ Podobne wykręcenie się na pięcie uczyniła kolej Wiedeńska względem swych pracowników. Jesienią rozeszła się wieść o zmianie uposażenia w ten sposób, że obok płacy normalnej stosowana będzie dodatkowa, z funduszu przeznaczonego na mieszkanie i opał. Wszyscy, przejęci otuchą, czekali Nowego roku, a dreszcz im po skórze już nie przebiegał na myśl o zimie, a więc i wydatkach zwiększonych. Tymczasem złudzenie i zadowolenie prysnęło pod wpływem następujących wyjaśnień: „Zmiana dotyczy tylko pozycyi budżetowych, w istocie bowiem uposażenie, pobierane dotąd przez urzędników, zostało bez zmiany, a fundusz na mieszkanie płacony jest z innej pozy-

cyi.“ Rozczarowanie bywa boleśniejsze od rozdzierających je faktów. Po co więc zarząd kolei bawił się w obiecanki, które oprócz rozgoryczenia mogły się przyczynić do nowych długów, zaciągniętych à conto podwyżki? *Z.*

Skarga.

P. F. Car, właściciel magazynu okryć, nie tylko umie zręcznie się wkradać na szpalty dziennikarskie przez rotundę Eusapii i naiwność reporterską; znalazł on sposobność do rozgłosu na innej również drodze. Oto list matki do redakcyi *Kuryera warszawskiego*, ku przestrodze ubogich pracownic, poszukujących zajęcia: „Córka moja, spóźniwszy się nieco do magazynu rano jednego z dni świątecznych, została na samym wstępie wobec innych swoich koleżanek, przyjętą przez chlebodawcę gradem najobelżywszych wyrazów, a nawet czynnie zelżoną. Chcąc postępek p. Cara napiętnować publicznie, upraszam o zamieszczenie powyższego, przy czem oznajmiam, że przeciwko panu C. wystąpiłam ze skargą sądową.“ *Kuryer* wielką ma w tem zasługę, że nie odmawiając miejsca skardze, przyczynił się do oświetlenia przedsiębiorcy, tym razem bez zwykłych omówień: „powien właściciel magazynu.“ Taki sposób może być poniekąd kagańcem moralnym dla panów „chlebodawców.“ *Z.*

W DALI.

Warunki najmu i pracy. Za pośrednictwem prasy lub też drogą prywatną rozchodzą się ciągle dwie skargi, pozornie sprzeczne, a jednakże obie oparte na faktach istotnych: z jednej strony niedostatek rąk roboczych, z drugiej — brak pracy. Ci, którzy nie wnikają głębiej w rdzeń zjawiska, starają się je tłomaczyć rozmaicie, najczęściej lenistwem, niechęcią do pracy. Korespondent np. z powiatu rawskiego wyjaśnia: „Oto dopisał urodzaj kartofli, chłop więc miejscowy, skoro ma co jeść ze swoją rodziną, nawet synom dorosłym nie pozwala iść do pracy po dworach.“ W tego rodzaju twierdzeniach, dość częstych, przebija się jednocześnie prawda i gorycz skłopotanego ziemianina. Nie wie on tylko o jednem, że to lenistwo, brak energii, faktycznie istniejące, pochodzą w większości ze sposobu odżywiania się, z owych właśnie kartofli, których „urodzaj dopisał“ i dał strawę chłopu na całą zimę i wiosnę. Na Zachodzie badania w tej mierze prowadzone są skrzętnie, a spostrzeżenia dostarczyły wiele znamiennych szczegółów, popierających dowodzenia teoretyczne. Oto przykład: Przy budowie kolei żelaznej z Rouen inżenierzy spostrzegli, iż robotnicy angielscy pod względem ilościowym pracowali produkcyjniej, niżeli francuzi. Znaleziono przyczynę w odżywianiu: anglicy otrzymywali bowiem codzień 660 gramów mięsa 550 gr. chleba białego, 1000 gr. kartofli i 2 litry piwa na osobę. Po zastosowaniu takiej samej dawki i stosunku do robotników-francuzów, produkcyjność ich pracy dorównała anglikom. Niewątpliwie chłop nasz z natury jest ociężalszy od robotników zachodnio-europejskich; ale znaczną część tej jego ociężałości i lenistwa leży w zjawisku powyższem, na które u nas prawie nikt nie zwraca uwagi. Po za tem najmita wiejski stroni od dworów z powodu nizkich zarobków. Np. w powiecie noworadomskim brak ich coraz bardziej daje się odczuwać wskutek tłumnego wychodźtwa po zarobki do Prus, skąd, wedle zapewnień *Tygodnia* piotrkowskiego, przynoszą oni czasem 60 do 100 rs. Fakt ten jednocześnie zaznacza jaskrawo różnicę kulturalną: chłop z zachodnich krańców Królestwa Polskiego uważa za wyższe i korzystniejsze niż u siebie zarobki w Prusach, czego najlepszym dowodem są dość znaczne kwoty zaoszczędzone. Jednocześnie robotnik pruski nie może już się zadowolić skalą zarobkową, wystarczającą dla naszych i podąża w głąb Niemiec ku Zachodowi.

Pozostaje jeszcze nam trzecie zjawisko niedostatku najmitów i — pracy dla nich: brak organizacyi wywiadowczo-informacyjnej. Dotąd poszukiwanie i najem oparte są na faktorstwie, z którego wynika zawód obustronny, gdyż robotnik często nie dostaje tego, czego szukał i jeszcze stręczyciel ostatni grosz jego pochłania; przedsiębiorca zaś wprowadza nieraz włóczęgę i złodzieja do swego gospodarstwa.

W ostatnich czasach zaczął się zaznaczać słaby ruch ku lepszemu w tym względzie. W Lublinie, gdzie faktorstwo silnie się rozrosło, powstaje kaucyonowane biuro stręczeń. Ma ono się starać o najszczegółowsze wiadomości co do uzdolnień i wartości moralnej kandydatów. Obok wszelkiego rodzaju służby, pośrednictwo to będzie także przystępne i dla mamek, rekomendowanych za pomocą świadectw lekarskich. Takich urządzeń prowincya prawie nie posiada; warto więc, aby za przykładem Lublina poszły inne zbiorowiska ludzkie w Królestwie. Naturalnie kantory te będą miały tylko wtedy znaczenie dodatnie, jeżeli się nie staną aferą spekulacyjną.

Do czynników, regulujących poniekąd najem robotników wiejskich, wejdą wkrótce książeczki obrachunkowe, jako forma obowiązująca w całem Królestwie Polskiem. Modła ogólna nie będzie wszakże ścisłością swą krępować obu stron. W książeczkach tych bowiem magą być czynione zmiany, wedle utartych zwyczajów miejscowych. Zwierzchnią władzą w stosunkach robotniczych wiejskish, na wzór inspektoratu fabrycznego, będą komisye gubernialne do spraw włościańskich. Książeczki zawierać mają: wyciągi z główniejszych przepisów, dotyczących zobowiązań wzajemnych gospodarzy i najemników, rubryki do zapisywania wynagrodzenia, daty odbioru i — kary nakładane lub wyliczenia z pensyi; w końcu — spis przedmiotów, powierzonych na przechowanie i użytkowanie przy pracy. Dowody te będą jednocześnie pasportem, prawomocnym w granicach danej gubernii. Wydawać je będą na czas określony, zarządy gminne albo burmistrze osad. W razie przejścia do innej gubernii, robotnik nadto musi mieć pasport zwyczajny. Przyjmowanie parobka lub dziewczyny do służby folwarcznej bez książeczki lub poszukiwanie zajęcia bez tego dowodu, będzie wzbronione. Dokument pozostaje w rękach gospodarza, spory zaś rozstrzyga komisarz włościański. O praktycznych rezultatach tej reformy mówić jeszcze zawcześnie; w każdym jednak razie wpłynie ona znacznie na zmniejszenie chaosu w dzisiejszych warunkach najmu. *Drogomir.*

Radom. Miasto posiada liczną rzeszę lichwiarzy w różnych postaciach, pożyczających na weksle i na fanty. Jeden z nich, niejaki Grün, był niedawno przed sąd wezwany za „nadużycia lichwiarskie.“ Według zeznań świadków, najniższa stopa procentowa wynosiła 60%, najwyższa przeszło 100%. Podsądny skazany został na trzy miesiące więzienia tudzież na grzywnę 100 rs., lub zamiast tej ostatniej na miesiąc aresztu. Dla przeciwdziałania tej klęsce, której sądy nie ukrócą całkowicie, radomianie projektują utworzenie lombardu. Drugim projektem, również pożądanym dla miasta, są tramwaje, ale powodzenia wielkiego temu przedsiębiorstwu wróżyć nie można. Miasto niewielkie, ruch wcale się nie odznacza gorączką, cechującą ogniska przemysłowo-handlowe. Jakkolwiek zatem komunikacya będzie przyjęta mile przez mieszkańców, nie da ona wielkiej dywidendy przedsiębiorcom, a może nawet szczerbę w kapitale zakładowym wyrządzi. — Etnograf, p. Jastrzębowski, postanowił utworzyć w Radomiu Muzeum z działami: etnograficznym, sztuk pięknych, sztuki stosowanej, okazów przemysłu gubernii itd. — Uczniowie niezamożni z zabiegów filantropijnych otrzymali zasiłek w kwocie rs. 328 k. 14 z koncertu, urządzonego przez pp. Lubońskiego i dr. Fidlera.

Mińsk. Wielkiej wrzawy narobiła sprawa, poruszona jeszcze latem w Towarzystwie rolniczem. Mianowicie jeden z członków tej instytucyi, p. Eug. Kowalewski, zwrócił uwagę na ogromny wyzysk ziemian przez banki akcyjne i z tego powodu położył nacisk na potrzebę reformy. Dla bliższego opracowania tej kwestyi, Towarzystwo wydelegowało komisyę specyalną, która opracowała szczegółowy plan reform. Sprawa ta ani na chwilę dotąd nie ucichła, co świadczy o jej żywotności. Zresztą nie można tak ważnego przedmiotu w krótkiej notatce wyczerpać, więc tymczasem zaznaczamy tu ją w paru słowach. Wywołała ona wrogie dla rolników wystąpienie p. Piltza w *Kraju* i na zebraniu wrześniowem obudziła przeciwko niemu silne wrzenie. Z powodu atoli nieporozumień, przyjęto go do Towarzystwa, wbrew chęci większości członków. Dnia 24 grudnia poddano p. P. ponownemu balotowaniu. Ale to sprzeciwia się ustawie, więc sprawa pozostała nierozstrzygniętą. Sama atoli niechęć ogółu chyba wystarczy, ażeby p. Piltz zechciał dobrowolnie się usunąć, jeżeli mu jeszcze nieco ambicyi pozostało. — Delegacya Towarzystwa w sprawie Banku wileńskiego wpłynęła na nadanie pierwszorzędnego znaczenia kredytowi rolnemu. Zwołany do ministeryum skarbu na styczeń zjazd delegatów instytucyj kredytowych, będzie się naradzał nad szeregiem następujących ważnych zagadnień: 1) udzielanie pożyczek na terminy krótsze od wskazanych w ustawie; 2) konwersya listów na $4\frac{1}{2}$ procentowe; 3) zmiana stosunku pomiędzy listami zastawnymi w obiegu a kapitałem zakładowym (obecnie wartość listów nie może przewyższać pomnożonego przez 10 kapitału zakładowego); 4) zniesienie opłat dłużników na kapitał zapasowy, dywidendę dla akcyonaryuszów i koszty administracyi; 5) pobór rat nie na pół roku z góry, lecz po upływie półrocza. — Ziemianie całej niemal gubernii uskarżają się na zastój zbożowy. Z tego względu smutnie się przedstawia położenie folwarków zadłużonych tudzież dzierżawców. Nietylko niema nabywców na ziarno, ale nawet produkt ten zaczął na rynki miejscowe obficie napływać z głębi Cesarstwa.

SPRAWY EKONOMICZNE.

W SEKCYI ROLNEJ.

Odczyt Krzywickiego. — P. Malinowski o sklepach chrześciańskich. — Sposoby wzmocnienia tego handlu. — Potrzeba sekcyi handlowej. — Delegacya mleczarska i wyniki jej działań. — Stosunki z Kopenhagą.

Odczyt Ludwika Krzywickiego o rolnictwie amerykańskiem był najbogatszą częścią programu posiedzenia i niewątpliwie przyniósł słuchaczom stokroć więcej korzyści, niż cała treść kilku poprzednich obrad miesięcznych. Wiedza, wybitny dar spostrzegawczy i kombinacyjny, suma obfitych spostrzeżeń osobistych, złożyły się na owoc tej pogadanki, żywo odzwierciedlającej warunki gospodarki zaoceanowej. Za punkt wyjścia prelegent wziął departament rolnictwa, instytucyę ogarniającą licznemi ramionami wszystkie działy produkcyi i handlu, nawet daleko po za granicami Ameryki. Jakże mizernie wygląda nasza gospodarka skromna, niemal pierwotna, o siłach rozbitych, nasze Towarzystwa i sekcye rolnicze z całym swoim programem wobec tego kolosu, dzielnie zorganizo

nego, z całą bateryą, wymierzoną przeciwko wszelkim wrogom produkcyi, z olbrzymim aparatem spostrzegawczym, posługującym się machineryą statystyki i licznemi gałęziami wiedzy!

Weźmy dział entomologiczny. Zadaniem jego jest wytępianie owadów szkodliwych za pomocą wyszukiwania i pielęgnowania pasorzytów, zabójczych dla nich. Zabiegi te pochłaniają masę środków, czasu i energii, lecz wzamian przynoszą milionowe korzyści. Inne działy — chemiczny, ornitologiczny, botaniczny, patologii roślinnej, stacyi doświadczalnych i t. zw. *of Animal Industry*, wnikają we wszelkie odłamy gospodarki, ułatwiają wszelkie kroki wytwórcy i łączą go ściśle z instytucyą sterniczo-opiekuńczą. Nauka na każdym kroku ma zastosowanie praktyczne, botanika jest latarką, z którą się wyszukuje traw pastewnych w Australii lub gdzieindziej i przystosowywa je do warunków miejscowych. Hodowla trzód i wszystkich gatunków bydła prowadzona jest świadomie i rozpada się na specyalności: utrzymywanie stad rozpłodowych, produkcya na rzeź lub wełnę. Jeżeli gdzie, to w Stanach Zjednoczonych zootechnika szczytu dosięgła. Specyalny inspektorat, czuwający nad stanem zdrowotnym bydła, jest niestrudzony w ciągłej walce z warunkami wrogimi. Hodowla o programie z góry wytkniętym wyzyskała wszystko, co tylko dotąd wyzyskać mogła na swą korzyść; wprowadziła księgi rodowe, dające możność jasnej oceny towaru. Lecz miarą ogromu działań, ich sprytu i sprężystości, jest statystyka departamentu. Na jej usługach czynna armia składa się z *piętnastu tysięcy* dobrze wytresowanych reporterów, rozsypanych po Europie i w swej roli szpiegowskiej oddających nieocenione usługi instytucyi a przez nią ogółowi wytwórców amerykańskich. Nadto, w zaprzęgu statystycznym bierze udział 125 tysięcy fermerów. Na sprawozdania książkowe i buletyny departament nie szczędzi kosztów, odbija je w setkach tysięcy egzemplarzy i rozsyła darmo na zażądanie. Z tej darmej pomocy korzystają rolnicy także w innym względzie: otrzymują oni nasiona; o rozmiarach zaś tych podarunków świadczą cyfry: w ciągu jednego roku rozesłano 5,932,989 próbek nasion i 60 tysięcy drzewek. To jest zakres stacyj doswiadczalnych. Cóż nasza sobieszyńska, gdzie bezpłatne próbki gruntu w związku z nawozowemi nie mają ochotników, a wyłącznie nawozowe kosztują po 30 rubli!?

Nie będziemy powtarzali tutaj licznych a wielce ciekawych szczegółów o produkcyi, technice i handlu, gdyż poniekąd sam autor zużytkował to w listach swoich, więc tylko słówko o własnem wrażeniu. Ten potwór amerykański wielogłowy i wieloramienny, oddychający pełnią życia gorączkowego, poruszający się przy pomocy maszyn nawet na fermach 3—4-włókowych, cieniem swego cielska pokrywa zupełnie naszą nizko i ociężale pełzającą gospodarkę o pługach i nawet sochach drewnianych, ciągnionych przez woły wychudzone i chabety. Jakieby oczy zrobił fermer, posługujący się maszynami do orki, żniwa, koszenia siana, przyrządzania i rozdzielania sieczki, mycia i strzyżenia owiec, gdyby mu p. Szwajcer odmalował obrazek, przedstawiający chłopa, ciągnącego z babą pług, popychany przez dzieciaka?

Odczyt Krzywickiego na pozór nie ma związku z naszem rolnictwem, tak różniącem się od amerykańskiego, jak np. różni się socha chłopa poleskiego od szeregu pługów, ciągnionych przez motor parowy lub elektryczny. W istocie atoli przedstawiony żywo obraz kultury zaoceanowej jest ziarnem, które jeżeli nie padło na grunt jałowy, będzie kiełkować w głowach ziemian i może z czasem wyda owoce. Nie mamy ani pod względem jakościowym, ani ilościowym, takich maszyn, jak gospodarze za Atlantykiem; ale dlaczegobyśmy mieć ich nie mogli w przyszłości? U nas zaledwie rolnik zamożny ma jaką taką żniwiarkę lepszego systemu, chłop w wielu miejscowościach nawet nie słyszał o niej. Młocarnie parowe jeszcze mniej rozpowszechnione, bo na taki sprzęt kosztowny trzeba byłoby nieraz przynajmniej ćwierć wartości majątku użyć. Ale i fermerzy amerykańscy nie rozporządzają wielkimi kapitałami, a jednak na 3—4 włókowych posiadłościach maszyny sprzątają zboże i młócą w ciągu paru dni. Tajemnica uprzystępnienia siły parowej tkwi tam nie w nabywaniu na własność jej motorów, lecz w wydzierżawianiu na przystępnych warunkach. Maszynista idzie sam ze swoją machiną do roboty i za 8—9-tą wartość ziarna na rynku, sprząta i młóci, reszta, tj. handel przepływa przez świetną organizacyę elewatorów. Czy u nas wydzierżawianie motorów rolnych przy obecnych warunkach byłoby rzeczą niemożliwą? Owszem, system taki miałby poniekąd powodzenie i racyę bytu, a nawet w obrębie państwa nie jest on zjawiskiem teoretycznem. Sam widziałem w południowych prowincyach czarnoziemnych młockę za pośrednictwem wypożyczonej lokomobili przez jednego z zamożniejszych rolników (dzierżawcę) sąsiadom. Takie wynajmowanie wobec braku współzawodników jest dlań źródłem pokaźnego dochodu, a korzysiający z motoru znacznie sobie zmniejszają w ten sposób koszt produkcyi tudzież zyskują na czasie. Stworzenie zatem u nas Towarzystwa wypożyczania maszyn na wzór amerykańskich, nie jest czemś takiem, na co trzeba z wielkiej odległości patrzeć. Samo wszakże przedsiębiorstwo łatwiejszem się wydaje, niż uruchomienie kapitałów, uwięzionych w różnych papierach wartościowych, albo pobudzenie energii istniejącej ale zastałej w skostniałych systemach. Żywioł rolniczy amerykański składa się z jednostek dzielnych, których za ocean rzuciła nietylko potrzeba polepszenia lub wynalezienia korzystniejszych warunków materyalnych, ale także konieczność wyładowania wezbranej energii. Nic też dziwnego, że masa złożona z takich osobników wre silną gorączką. U nas niewielki procent ruchliwych przygnieciony jest ociężałą masą ogółu, więc wszelkie śmielsze pomysły przyjmowane są z niechęcią lub nieufnością. Ogrodnictwo, które u amerykanina jest działem produkcyi równoznacznym z uprawą pszenicy, tutaj idzie bardzo opornie. Kiedy zaś na grudniowem posiedzeniu poruszono sprawę hodowli roślin „przemysłowych,“ poczułem śród zebranych podmuch nieufności, usłyszałem sceptyczne uwagi o powodzeniu przedsiębiorstw szparagowych, uprawy nasion buraczanych lub hodowli roślin aptekarskich. Zestawmy teraz z tem sztuczną hodowlę ostryg w Ameryce, zatrudniającą 60 tysięcy ludzi; fermy, hodujące wyłącznie kurczęta i sprzedające ich po dziesięć tysięcy sztuk rocznie; pola poziomkowe, hodowlę żółwi, strusiów itd.

Takie uwagi nasunął mi odczyt kol. Krzywickiego i życzę szczerze, ażeby obudził on podobne rozmyślania śród rolników. Możeby to był pierwszy podkład do czynu...

P. Malinowski zabrał głos w sprawie t. zw. sklepów chrześciańskich na prowincyi. Autor wytknął ich wadliwą stronę, tkwiącą przedewszystkiem w braku uświadomionego działania kupców. Lada spekulant ciemny, lecz sprytny i ruchliwy, może ich prześcignąć i w kozi róg zapędzić. P. M. zestawił działalność tych przedsiębiorców z ruchem sklepowym za granicą, opartym na racyonalnych podstawach i podał wniosek przekształcenia organizacyi za pośrednictwem ogniska centralnego w Warszawie. Ażeby tę myśl urzeczywistnić, należy stworzyć delegacyę sekcyi rolnej, a nawet lepiej — osobną sekcyę handlową. Myśl w zasadzie dobra, bo takie wzbogacenie ważnym działem zadań Towarzystwa może się przydać nie tylko dla sklepów chrześciańskich. Wniosek prelegenta przyjęto jednogłośnie, ale z warunkiem, że sekcya rolna, jako nie posiadająca kupców i wogóle ludzi obeznanych z tym przedmiotem, ofiaruje tylko swe skrzydła, pod któremi zaproszeni fachowcy mogą wysnuć plan pracy i jej wyników — przekształcenia handlu sklepowego na prowincyi.

Usłyszeliśmy na posiedzeniu poniedziałkowem sprawozdanie delegacyi mleczarskiej, która powstała skutkiem odezwy 8-u ziemian z pow. olkuskiego, żądających oclenia mleka, przywożonego z zagranicy na potrzeby ludności ościennej. Prócz tego, interesowani żądali między innemi zniżenia frachtu na kolejach. Wybrana w tym celu delegacya, po zbadaniu przedmiotu przyszła do przekonania, że garstka owych ziemian dla małych osobistych korzyści (i to pozornych) wymaga monopolu, szkodliwego dla robotników w okręgu górniczym, płacących już dziś bez środków sztucznych dość drogo za nabiał (26 kop. garniec). Koleje nie uwzględniłyby żądanych ulg, gdyż owa gałąź produkcyi nazbyt jest szczupła, ażeby mogła przedsiębiorstwu przewozowemu zapewnić korzyści z ustępstw. Oclenie produktów przywożonych z zagranicy, wywowałoby podobne środki ze strony Niemiec, a wtedy wytwórcy tutejsi mieliby zupełnie zamknięte rynki obce. Jeden tylko szczegół przychylnie przyjęto: wniosek zabiegów u władzy właściwej o udogodnienia pocztowe w przesyłaniu 10-kilogramowych pakunków masła.

W związku z powyższym przedmiotem jest ogłoszony przez prezydującego fakt zawarcia umowy jednego z ziemian (p. Dziekońskiego) z Kopenhagą w przedmiocie sprzedaży masła. Wytwórca zdobył sobie samodzielnie daleki rynek i zbywa tam swój produkt bardzo korzystnie po 15—16 rs. za pud. Szczegół ten powinien być wskazówką dla innych producentów, narzekających na brak zbytu. Ale większość wytwarza tylko tyle masła, ile może zaspokoić drobnego spekulanta-pośrednika. Stosunek z Kopenhagą lub innymi rynkami wymaga wzmożenia produkcyi. Jeżeli interesowani dobrze oceniają własne korzyści, niech tym razem przedsięwezmą wyprawę na obce ogniska zbytu siłami zbiorowemi, tylko nie w taki sposób, jak ongi usiłowali podbić Paryż swoją wędliną — zepsutą.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Powstaje w Warszawie czytelnia techniczna dla użytku inżenierów, budowniczych i wogóle techników.

— Zwrócono uwagę, iż dotychczas prezesi i kuratorowie masy upadłości nie są zagrożeni żadną karą za skupowanie roszczeń wierzycieli na swoje lub cudze imię. Dotąd pociągało to za sobą tylko unieważnienie tranzakcyi, nadal zaś ustanowiona będzie odpowiedzialność karna.

— Dn. 8 b. m. w Krakowie rozpoczęła się rozprawa sądowa, wytoczona 118 włościanom, oskarżonym o opór uczyniony władzy podczas zarządzeń przeciwdziałających rozwojowi cholery.

— Przy ulicy Walców w Warszawie otwarto nową kuchnię bezpłatną.

— Senat rządzący wyjaśnił, iż przedawnienie nie może być stosowane do spraw dyscyplinarnych, wytoczonych adwokatom przysięgłym.

Szkoły. Z powodu przeniesienia szpitala Dzieciątka Jezus, Rada uniwersytetu warszawskiego postanowiła przedstawić własne plany nowego prosektoryum, sali wykładów i pomieszczenia dla zbioru anatomicz-

nego. O ile koszty budowy przewyższą sumę, przeznaczoną przez miasto, uniwersytet wyjedna odpowiedni kredyt z funduszów budowlanych ministeryum oświaty; nadto — weźmie udział w dozorze i komitecie budowlanym całego gmachu szpitalnego ze względu, iż studenci odbywają tam studya praktyczne. Należy również zwrócić uwagę na przyszłą klinikę uniwersytecką i oddział położniczy. Urządzone będą także sale wykładowe dla praktykantów felczerskich i kursów akuszeryjnych.

— Z rozporządzenia ministeryum oświaty, kandydaci, pragnący wstąpić na wyższe kursy (2, 3, 4) Instytutu technologicznego w Petersburgu, będą mogli składać egzaminy nie tylko w jesieni, lecz i na wiosnę każdego roku.

— Instytut medycyny dla kobiet w Petersburgu stanowczo będzie otwarty przy jednym ze szpitalów miejskich. Kursy sześcioletnie. Od kandydatek wymagany kurs gimnazyów męzkich. Wiek obowiązkowy 25 lat skończonych.

— W uniwersytecie jurjewskim do egzaminów na stopień doktora medycyny mają prawo tylko kandydaci, posiadający dyplom jednego z uniwersytetów ruskich lub Akademii wojskowo-lekarskiej.

Sprawy kolejowe. Urzędnicy kolei Terespolskiej podają często prośby o wynagrodzenie za pracę w godzinach pozabiurowych. Obecnie naczelnik tej drogi rozesłał okólnik, w którym wyjaśnia, iż prośby takie, jako pozbawione racyonalnej podstawy, nie będą wcale uwzględniane, gdyż każdy urzędnik, któremu czasem wypadnie dłużej popracować, wypełnia tylko włożony nań obowiązek, za co oprócz pensyi, nie powinien żądać innego wynagrodzenia. Wobec tak wymownych dowodzeń, niech pracownicy pogodzą się z losem.

OFIARY.

Na Kasę Mianowskiego od polaków z Astrachania rs. 21 — od Ignacego Zawadzkiego z Udrycz rs. 5.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 31 Декабря 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.